Nr. 4. Lwów, dnia 1. Kwietnia 1883. Rok VI.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 frank. | WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA. | INSERATY przyjmują się po zwykłej cenie.

RUJA SARN.

PRZEZ

Kazimierza hr. Wodzickiego.

Poruszam sprawę nader zawikłaną, zagadkową, o której już w naszem stóleciu tyle pisano, że wydrukowane książki stanowiłyby już poważny zbiór. Nowocześni Niemcy w swej naukowej zarozumiałości ubijają kwestyę słowami: *eine abgemachte Thatsache, ein überwundener Standpunkt.* Inni za owymi mędrcami głoszą ten pseudo-pewnik, i tak stopniowo rozpowszechnia się on po kontynencie bez rzeczywistej podstawy. Ułuda a prawda, przypuszczenie a rzeczywistość zbyt daleko stoją od siebie, szczególnie w przyrodzie, która nas jak dzieci oszukuje i grubą zasłoną swe tajemnice okrywa. Wiem, że podejmuję pracę niewdzięczną dla siebie, a mogącą znużyć czytelnika, ale szereg lat poświęconych badaniu tej zagadkowej tajemnicy, zmusza mnie do wykazania wyników moich spostrzeżeń, mego przekonania i długoletniego badawczego doświadczenia, pobudzanego właśnie przez ową tajemniczość u zwierzęcia tak bardzo rozpowszechnionego.

Przed laty czterdziestu, gdy polowano u nas z ogarami, nie szanowaliśmy sarn gonionych psami, wyjątkowo wybieraliśmy rogacze, kiedy kilka sztuk wyskakiwało na myśliwego. Już wtedy od św. Michała, czyli od rozpoczęcia polowania z gończymi, do końca Marca, anatomizowałem sam ubite kozy, lub badałem wnętrzności i embryony. Nie raz o zakład przepowiadałem, że koza kotna lub nie, w jakim kształcie zobaczymy płód, i nie pamiętam, abym się kiedy omylił. Nie podlega wątpliwości, że są kocenia wyjątkowe, częstokroć na śniegu w Marcu, wtedy młode giną najczęściej z zimna. Widziałem dwa razy takie przedwczesne sarniątka, a raz naocznie maleństwo, kroczące za matką z wysileniem w głębokim śniegu, a nie przeżyło ono miesiąca. W ogólności kocą się sarny od początku Maja do końca Czerwca, używając rui przez dwa miesiące według wieku i sił. Stopniowany popęd płciowy spostrzegamy także u dzików, jakoż samurka, broniąca swej cnoty wobec najwspanialszego odyńca w Listopadzie i Grudniu, poddaje się mu dopiero w Styczniu, a niekiedy aż w Lutym. Tak też dzieje się u sarn zdrowych i dobrze utrzymanych. Nie napotkam u mych kolegów doświadczonych zaprzeczenia, jakoby obfity żer i czerstwe zdrowie nie wpływały na popędy płciowe przedwczesne, których wszakże jako normalnych uważać nie można. Lekka zima, odkryte oziminy, nie nakryte rośliny leśne powołują zające już w Styczniu do parkotni, przeciwnie poczas zimy twardej, śnieżnej, bez opieki i pomocy, gonią zające ledwie w końcu Marca za zajęczycą. W latach urodzaju bukwi rozpoczyna się hukanie dzików już w Październiku, a na wcześniejszą ruję sarn wpływa obfity żer żołędzi. Od wielu lat noszę się z myślami i notatkami, przywołuję do pamięci wspomnienia i dowody, pragnąc pozostawić potomności moje spostrzeżenia, przyczem

zastrzegam solennie, iż nie stawiam ich jako pewniki. Przyroda opierając się na niewzruszonych podstawach, objawia jednak niekiedy wyjątkowe i zagadkowe zdarzenia bez wykazania nam, nie dosyć jasno widzącym, przyczyny tych wyjątków, które, naocznie na nie patrząc, musimy przyjąć jako rzeczywiste. Innym razem okrywa ciemną zasłoną tajemnice, któreby wcale istnieć nie powinne. Jako przyrodnik i badacz mógłbym zapełnić mnogie arkusze opisem przyrodniczych zagadek, wystarczy tu wszakże sarna, kryjąca od Pliniusza aż do naszych czasów porę swej rui. Tajemnica ta, badana od wieków przez mężów nauki, znakomitych leśników i myśliwych, do tej chwili nierozjaśniona, i nikt, nawet najzarozumialszy badacz, nie może mieć odwagi postawić ściśle oznaczonego terminu rui sarn, czy się ona odbywa w lecie, czy w zimie. Sarna, wychodząca wieczorem i rano na leśne łąki i ozime zasiewy, plątająca się śród rębaczy w lesie, między wozami i saniami, tak łatwa do badania, że leśniczowie w Niemczech każdą osobiście znają i wiedzą, która jałowa, a która ma młode i wiele, licznie w zwierzyńcach chowana pod okiem badacza, niemal do domowych zwierząt należąca, umiała ukryć czas rui do tego stopnia, że w r. 1882 pytają się przyrodnicy, badacze naukowi i myśliwi, kiedy też rzeczywiście ruja jej się odbywa. Nie jestże to kolczasta ostroga, podniecająca ciekawość i zmuszająca do dalszych badań tej zagadkowej tajemnicy? Mogą autorowie twierdzenia drukować, że ruja odbywa się w Czerwcu, Lipcu lub Sierpniu, nie dostarczają nam oni jednak niezbitych dowodów. Inni badacze oznaczając termin rui listopadowy i grudniowy, przysięgą swego mniemania stwierdzić nie mogą. Tak przez 19 wieków umiała zręczna i przebiegła sarneczka ukryć przed nami zaręczyny i ślub i całe swe pożycie małżeńskie. Po wielu latach sumiennych badań powziąłem przekonanie, że rzeczywista ruja sarn odbywa się w Listopadzie i Grudniu, nie narzucam wszakże nikomu mego zdania, nie stawiam go jako aksiomat, owszem dołączam gorącą prośbę do wszystkich myśliwych, aby zdzierali zasłonę z tej przez wieki dochowanej tajemnicy i podawali swe spostrzeżenia w organie naszym. Jak już wyżej wspomniałem, poświęciłem tej zagadce 40 lat życia, nie pominąłem żadnej sposobności wtajemniczenia się w życie sarn, anatomizowałem każdą ubitą kozę i spostrzegałem widoczny płód dopiero w Styczniu, u młodszych w Lutym, pomimo używania drobnowidza czyli mikroskopu. Byłbym nie rozpoczynał tej żmudnej pracy, niewdzięcznej dla autora, nudnej może dla czytelników, których w „Łowcu" raczej pragnę rozerwać, uśmiech na usta wywołać, odpędzić natrętnego Morfeusza i zdobyć ich życzliwe wspomnienie, alę wezwanię p. Kazimierza Remiszewskiego w nr. 7. u. r., oparte na zaszczytnem do mnie zaufaniu, zmusza mnie do skreślenia zdobytych w badaniach rezultatów. Słusznie i na rzeczywistej podstawie twierdzi p. Hostoński, że ruja, obdarzając nas kształtnemi baletnicami lasowemi, odbywa się w Listopadzie i Grudniu, a swawola, ów tłusty karnawał, odbywa się w letnich miesiącach, w których sarny zapłodnione nie bywają. Nie dzielę jednak zdania wyżej zacytowanego kolegi, iż najnowsze badania stanowczo stwierdziły ruję sarn w Grudniu i Styczniu, gdyż większa część myśliwych i badaczy podają spostrzeżenia nie z własnego doświadczenia, lecz powtarzają pacierz za panią matką, a większość ich oznacza ruję w letnich miesiącach. Ile mogłem, nabywałem zawsze dzieła myśliwskie, peryodyczne pisma, broszury łowieckie, wiodłem żmudne korespondencye przez długi szereg lat, zawsze, niemal w każdym druku znajdowałem cytacye autorów: Diezel, Meyerinck, Ziegler, Dietrich, a wreszcie anatomistę i wielce uczonego badacza Dra. Bischoffa. Do chwili pojawienia się sprawozdania Dra. Bischoffa, liczni myśliwi przyjmowali porę rui sarn w zimowych miesiącach, później każdy niemal cofnął swe zdanie i ponownie zanurzył się w mgle wątpliwości, rzadko który miał odwagę podjąć walkę z znakomitą potęgą, jaką w swoim czasie był Bischoff. Ja skromny szlachcic polski podejmuję tę sprawę bez zarozumiałości, wcale nie zastraszony potęgami niemieckiemi i zamierzam zrobić przegląd pism w tej sprawie wydanych. Wiem, że będę nudnym i nużącym, lecz niech mi wierzą koledzy, że znudziłem się też czytając te wszystkie dzieła i robiąc wyciągi, że się nudzę pisząc co następuje, lecz czynię to w celu poparcia mych spostrzeżeń i wykazania, na jak słabych podstawach stoi twierdzenie o rui sarn w letnich miesiącach. Zresztą bez przykrości zniosę usunięcie pierwszego nru. „Łowca", zawierającego cytacye autorów i rozbiór ich z przed oczów czytelnika, ale w końcu dołączam prośbę o czytanie dalszych artykułów, aby one stały się podstawą do badań w przyszłości i przyczyniły się do wyjaśnienia tajemnicy, zaiste zawstydzającej i poniżającej myśliwych naszego wieku. Istnieją dla nas dwa znakomite dzieła, istne *Vademecum* dla myśliwego, które jako źródło sumiennej nauki posiadać powinniśmy. Oparte one na długoletniem, praktycznem doświadczeniu. Pierwsze, *Dietrich aus dem Winckell*, kołysze nas opowiadaniami na prawdzie opartemi, jak niańka dziecko, istna zajmująca powieść, od której prawdziwy myśliwy oderwać się nie może. W szczególności opisy życia, zwyczajów i charakteru lisa, jego zdolności i przebiegłości, są nieporównane. Otóż szczery i niezarozumiały ten łowiec śmiało wypowiada swe zdanie o rui sarn w Listopadzie i Grudniu, nie stawia jednak tego zdania jako pewnik, gdyż dla niego zasłona z tajemnicy nie została jeszcze stanowczo zdjętą. Cześć prawdzie i skromności, cześć naszemu nauczycielowi. Na szczęście wydał on swoje dzieło przed pojawieniem się sprawozdania Bischoffa, może byłby się również jak inni cofnął wobec naukowej potęgi. Drugie znakomite dzieło: *Erfahrungen aus dem Gebiete der Niederjagd von Diezel. Gotha 1856.* Tak jak powyższy autor, może być Diezel dla nas przewodnikiem i nauczycielem; prawda tryska z każdego zdania, bystry, a nie zarozumiały to badacz. Poświęcił badaniu rui lat szesnaście, wysilał się na prenumeraty pism i kupowanie dzieł, wreszcie wydał zbiór swych spostrzeżeń. Doświadczenie go uczy, że ruja sarn odbywa się w Listopadzie i Grudniu, wyjątkowo w połowie Stycznia, przeczytawszy jednak sprawozdanie Dra. Bischoffa, waha się, wątpić poczyna i kończy temi słowy: „Gdybym chciał spisać wszystkie me spostrzeżenia o rui sarn, musiałbym kilka tomów napisać i wypowiedzieć, że do tej chwili ta sporna i zawiła kwestya nie jest rozstrzygniętą." Tylokrotnie cytowany nadleśniczy Mayerinck z Magdeburga spisuje nader zajmujące sprawozdanie. W r. 1820 20. Stycznia, gdy Elba zatopiła mu cały rewir, jeździł czółnem i łowił żywe i utopione sarny i zające. Kóz czternaście anatomizował przy świadkach i okazało się, że trzy miały po troje embryonów, dwie po dwoje, dwie po jednym, reszta była jałowa. To wiemy doskonale, że embryony w Styczniu są widoczne, lecz dlaczego przypuszcza letnią ruję? Widocznie miotany jest wątpliwościami, w końcu ulega zdaniu Bischoffa i przypuszcza, że embryony, jakoby żyjątka zamrożone lub w śnie zimowym pogrążone, spoczywają nie

kształcąc się wcale w przeciągu 26 tygodni. Juliusz Romser w *Annalen für Forst- und Jagdfreunde* opowiada, że złowił sarnę w Czerwcu, która 27. Maja roku następnego urodziła rano jedno, w południe drugie koźlątko. Z tego zdarzenia wnioskuje, że ruja odbywa się w Czerwcu, i że ta sarna tak jak samica słoniowa nosiła swój płód przez rok cały. Ten pojedyńczy fakt nie nosi na sobie cechy prawdopodobieństwa, najprzód z tego powodu, że żaden z uczonych badaczów nie przypuszczał dotąd całorocznej ciężarności, a po drugie znana jest troskliwość płochliwej sarny o swoje sarniątko, zna ona doskonale temperament rozjuszonego i roznamiętnionego rogacza, wie również, że bódłby i deptał zawadzające mu młode. Wtedy to sarna w odosobnieniu zupełnem kryje się w najciemniejszych gąszczach; ona, co dopiero w Czerwcu połóg odbyła, wyniszczona i karmiąca miałaby już z rogaczem rozkoszować? To nie do przypuszczenia, a moje doświadczenie wskazuje mi w sarnie matkę pełną poświęcenia dla swego płodu. — Dr. Ziegler z Hanoweru, tylekrotnie cytowany przez autorów późniejszych, stwierdza w swych „Wrażeniach" pewność rui letniéj następnymi dowodami. W Czerwcu i w Lipcu organa płciowe są nabrzmiałe, rogacz ma uzupełnione rogi, jest najokazalszym i w najlepszej tuszy, ugania za sarnami, więc odbywa zapłodzenie. Twierdzi, jednak bez dowodów, że embryon spoczywa przez trzy miesiące nieruchomy i nie wykształca się, w czwartym przechodzi z jajecznika w jajowód, zbliża się do macicy i poczyna się wykształcać, konkluduje, że sarna nosi 40 tygodni. Ten dziwny i wyjątkowy proceder tłómaczy ciasnotą kanału, prowadzącego do macicy. Jeżeli jest tak ciasny, dlaczegoż ma się rozszerzać w czwartym miesiącu, a nie zaraz po zapłodzeniu? Przecież u każdego stworzenia natura przygotowuje i ułatwia ciężarność od dnia zapłodnienia, jakżeż tu przypuścić pauzę trzechmiesięczną bez przyczyny i wyjaśnienia, a w czwartym miesiącu początek kształcenia się? Pozostawiam czytelnikom rozsądzenie twierdzeń Dra. Zieglera. — Diezel przypuszczając ruję sarn w Listopadzie i w Grudniu, zapełnia kilka kart podziwieniem flegmatyczności spokoju rogacza w tej porze, ztąd wynika powątpiewanie u tego sumiennego autora, zwłaszcza w zestawieniu usposobienia płciowego innych zwierząt. Zapytuje on: „Dlaczego rogacz podczas zimowej rui zachowuje się spokojnie, dlaczego niepodobny on w swych afektach do jeleni, łosiów, kozic, zajęcy i tokujących ptaków? Jeleń ryczy, szyję wyciąga, grzywę i włos podnosi, szerść całą najeża, chciwy walki, butny, zapomina nawet w roznamiętnieniu o łani, a to przecie główna aktorka tej sceny, którą szpiczak wtedy stanowi, goni współzawodników, stacza nieraz śmiertelne walki, często bez skoku kładzie się na ziemię, zwalony znużeniem i wysileniem. Zając w zaślepieniu traci część słuchów i turzycy w walce z rywalami, tłucze się o drzewa, skoczyłby w ogień i wodę, zdawałoby się, że nie widzi i nie słyszy, poczem znużony tak, że ledwie na skokach utrzymać się może, istny to obraz rozpasanego rozpustnika. Tokujące ptaki rozognione tracą chwilowo słuch i wzrok, nawet łoskot strzału ich nie płoszy. Dlaczegoż rogacz tak spokojnie się zachowuje?" Otóż gdy w Październiku i Listopadzie poczynają się sarny gromadzić w stadka, w których bywa po kilka rogaczów, to walczą one zawzięcie, goniąc się i tłukąc nawzajem, ale gdy jeden z nich wywalczy zwycięstwo, to wynosi się z swą oblubienicą i już żaden rogacz nie napastuje go podczas rui. Wtedy to widzimy w lesie parki chodzące, on spokojny, bo zaspokojony i znużony, ona rozkoszna, bo zadowolona, posiadając swego rogacza. W letnich miesiącach przeciwnie się dzieje: on ją goni i prześladuje, ona ze swą cnotą — jak chłopi mówią — ucieka, on coraz namiętniejszy, ona coraz więcej spłoszona, i zdarza się, że rogacz rozkiełzany w swych chuciach, dogania kozę, przewraca, ze złością rogami tłucze, a nawet zabija. Nie mało sarn, a zwłaszcza młodych siut, zostało w ten sposób zakłutych. Zawadzają wtedy rogaczowi sarniątka, które roznamiętniony rozpustnik depce i bodzie niemiłosiernie. Oto dla mnie wyjaśnienie różnicy zachowania się rogaczów w zimie i w lecie.

Dziełko świeżo w Lipsku wydane: *Handbuch des Jagdsport von Oscar Horn* mieści w sobie zajmujące opisy, ciekawe spostrzeżenia i wspomnienia prawdziwego i niezmordowanego myśliwego. Kwestyi jednak rui sarn wcale nie podejmuje i nie rozbiera, nie zgłębia jej własnem doświadczeniem, nie podaje żadnego dowodu, lecz krótko tylko wypowiada, że ruja sarn odbywa się w Czerwcu i w Lipcu, a kończy słowami: *es ist eine abgemachte Thatsache.* O tem już nie warto mówić. Łatwo w taki sposób zepchnąć kwestyę, ale to nas wcale nie oświeca i przekonać nie zdoła, tem mniej, że wyraża nie swoje zdanie, lecz idzie ślepo za Drem. Bischoffem. Według mego zdania, opisem bójki śmiertelnej, nader zajmującym, Horn sam obala swoją teoryę. W Lipcu na leśnej łączce gonił szpiczak dwuletnią kozę, wpędzał w krzaki, wypędzał z nich, silny i dorodny zawsze przy niej był, pomimo wysileń sarna mu umknąć nie zdołała, ani też od napastnika się uwolnić. Nieustannie jej drogę zabiegał, zatrzymywał i wskakiwał, ona się uginała i wymykała, nareszcie po kilkakrotnych nieudanych skokach rogacz ze spuszczoną głową i rogami do ataku uderzył na nią, ubodł w słabizny, przewrócił i począł bić rogami. Horn chciał widzieć koniec tego dramatu, więc się nie ruszał z miejsca, a gdy sarna jakby nieżywa na bok się przewróciła, poszedł ku niej i zastał ją ledwie drgającą z ośmioma ranami w brzuchu. Rogacz odskoczył na kilkanaście kroków, iskrzącemi oczami patrzał na Horna, tupał racicami, widocznie rozzłoszczony, że mu ofiarę wydarto. Dodaje: „Byłbym rozbójnika mógł z łatwością zastrzelić, gdyż wcale nie ustępował, ale byłem rozrzewniony i wzruszony biedną, konającą sarną." Ja sam nieraz znajdowałem młode nieżywe sarny, bez widocznego uszkodzenia i ran; być może, że były to nieszczęśliwe ofiary rozhukanych a niezaspokojonych chuci rogaczów, były bowiem w dobrym, zaokrąglonym stanie. Tak jest, sarna się rogów boi, nawet w czasie rui zimowej stroni od rogaczów z rogami i tuli się do tych, które już rogi zrzuciły. W parkach włóczących się po lesie najczęściej widzimy rogaczów bez rogów, z rogami wyjątkowo.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

MYŚLIWSTWO i MYŚLIWI we FRANCYI, ANGLII i w NIEMCZECH

PRZEZ

De la Rue.

(„La chasse illustrée" 1882. Tł. J. Ł.)

(Ciąg dalszy.)

Milsi mi są Niemcy, polujący na lisy i borsuki z doskonałymi swymi jamnikami. Dlaczegoż nie nazywamy te psy *dachshundami*, tak jak mianujemy angielskie psy gończe *foxhundami* i *staghundami?* Niemcy w skróceniu zowią je zwykle *dachslami*. Niech nam czytelnik pozwoli tym wyrazem ich naznaczyć. Jakkolwiek je nazwiemy, są to ostatecznie jamniki z wygiętemi nogami i drobnych kształtów. Włos na sobie mają krótki i zwykle czarny i podżary, widziałem też myszate, kasztanowate i czerwonawe z małą przymieszką barwy białej. Ciało ich wydłużone, nogi ku środkowi wgięte, bardzo odpowiednie do wciskania się w nory borsucze i lisie; doskonale są ułożone i zajmują znakomite miejsce na wystawach częstych po za Renem. Klub w Berlinie utworzony w celu poprawy ras psich mnogie rozdaje premie hodowcom dachshundów. We Francyi nigdy nie miano upodobania w polowaniu z jamnikami na borsuki i lisy, psy te są zresztą u nas bardzo rzadkie. Mamy i my wszakże prawdziwego amatora, p. Pontalbę około Chantilly, który ma dosyć ludzi i psów gorliwie szukających nor lisich i borsuczych. Obecnie baron Le Pelletier z trzema doskonałymi jamnikami wypowiedział wojnę lisom w lasach Villers-Cotterets. Wreszcie dodałbym do tych dwóch imion kilku przemysłowców z okolic Pas de Calais, którzy skrzętnie szukają lisów po lasach, wybierają je żywe i sprzedają Anglikom. Co do Niemców, a szczególnie leśników niemieckich, łowy z jamnikami nie są u nich rzeczą podrzędną, trzeba im słusznie przyznać, że umieją wyciągać z nich korzyści i prawdziwą przyjemność. Owym to łowom z jamnikami należy przypisać, że w całych Niemczech nie ma jednej nory lisiej lub borsuczej nieznanej i często nienawidzanej, strażnicy w każdej chwili mogą podać liczbę zwierząt nornych, osobliwie na wiosnę, gdy owe mięsożerne stworzenia oddają się popędowi płciowemu i urządzają sobie mieszkanie w celu wychowania swego potomstwa.

Wyżej już wspomnieliśmy, że u nas polowanie z wyżłem z każdym dniem upada; sąsiedzi nasi o wiele staranniejsi o to, co przynosi korzyści, mają jeszcze wiele kuropatw na swych polach, gdzie też często pomyślnie polują z wyżłami i bonończykami bardzo zmyślnymi i wybornie ułożonymi. Polowałem w całej prawie Europie, miałem więc sposobność widzieć i dostrzegać wiele; oświadczam przeto z całem przekonaniem, że jedynie w Niemczech polowanie z wyżłem odbywa się wzorowo, umiejętnie i z uwagą na przyszłość. Z wyjątkiem większych posiadaczy, którzy odkupili prawo polowania na swoich gruntach, nikt odtąd samowolnie nie polował, a gdy jaki amator polowania zapragnął użyć strzelby i psa, nie mało musiał się wysilić w dyplomacyi, popartej podarunkami, które mu torowały drogę do utrzymania przyjaźni i dobrych stosunków. Nie zawsze się to jednak udawało, i trzeba przyznać zgodnie z słusznością strażnikom niemieckim, iż na liście zaproszonych przez nich myśliwych byli tylko wyborni strzelcy i posiadacze doskonałych psów. W owym czasie oddany był myśliwy na łaskę straży polowej *(Hegereiter)* i leśnej *(Förster)*, należało przeto być w przyjaźni z nimi. Tak istotnie się działo, przynajmniej w moich czasach. Co do mnie, sprzyjały mi okoliczności bardzo; dobrze widziany i faworyzowany przez trzech hegereiterów, wprowadzony byłem zresztą przez naszego pełnomocnego ministra pana bar. de Bussiere, któremu król Antoni udzielił obszerne upoważnienie do polowań. W ciągu całego miesiąca Września polowałem prawie w każdym dniu, z wyjątkiem niedzieli. W przededniu pewnego polowania wysłał jeden z hegereiterów swego pomocnika do osób, których chciał sprosić na kuropatwy potrzebne mu, sprzedane już naprzód na korzyść Państwa. Pomocnik ukazał program, w którym wyrażone były dzień, godzina i miejsce zborne, nazwiska osób zaproszonych, numer śrótu, jakiego użyć należało, wreszcie wzmianka, iż jednego tylko psa można z sobą przywieźć. Nie bez słuszności sądzą Niemcy, że polować można ściśle według prawideł łowieckich tylko z jednym wyżłem, rzadko przeto zdarza się polować we dwóch myśliwych. Przybywszy na miejsce zborne, zastaliśmy chłopca z koszem wyplatanym na grzbiecie, zawieszonym na dwóch taśmach, w którym miały być umieszczane kuropatwy przedtem oczyszczone. Rozpoczęto polowanie na ogromnych łanach, zasadzonych kartoflami, w których dosyć gęsto znajdowaliśmy stadka kuropatw, liczące 10 do 12 sztuk. Na dwa psy dwóch myśliwych; jeden tylko szukał, drugiego prowadził chłopak na sforze, szukał on z kolei, gdy pierwszy się zmęczył. Dwaj myśliwi ułożyli się strzelać do wzlatujących kuropatw tylko po swojej stronie. Nie widziałem nigdy Niemców strzelających do kur. Po pierwszym strzale wymykały tuzinami zające, które bije się tylko w zimie, gdy skóra ich ma wartość. Psy ani patrzały na nie, pomykający za zającem byłby zaraz wzięty na sforę. Nie da się zaprzeczyć, że układanie wyżłów ściśle tu zastosowane do pojęć niemieckich o zwierzynie i do jej wartości. Porządek taki, sposób postępowania bardzo mi się podobał; wiele polowałem, a jednak przyznaję, że nigdy z większą przyjemnością. Nie mogę jednak zamilczeć, że jak wszędzie, tak i tu była też odwrotna strona medalu. Gdy chłopak spostrzegł, że możnaby wiele kuropatw żywcem ułowić, prosił myśliwych o wstrzymanie się, udawał się następnie ku końcowi rozjazdu, przeciągnął sznurek z zielonego jedwabiu, poczem wrócił, stanął w linii, polecając wolne postępowanie naprzód bez strzału. Widziałem łowione w taki sposób całe stadka kuropatw. Były one przeznaczone dla bogatych izraelitów, którym wolno spożywać tylko zwierzynę duszoną; naturalnie była ona sprzedawaną znacznie drożej. Na szczęście ten wzgląd handlowy nie na wszystkich polowaniach był przestrzegany. O ile broń palna nie była jeszcze dosyć wydoskonaloną do strzału szybkiego w lot, używali Niemcy wyłącznie rozjazdów, a mało oddawali się sokolnictwu, które uważali za czczą przyjemność, zanadto powolną i nie wiele dostarczającą pożytku.

Gdy ubito oznaczoną przez hegereitera liczbę sztuk, zakończono polowanie i ruszono ku domowi. Kto chce mieć zwierzynę, musi ją opłacić według taryfy odpowiedniej porze. Przy

polowaniu na kuropatwy z wyżłem zachowują Niemcy pewne reguły, które u nas we Francyi wcale nie są uwzględniane. I tak strażnicy nie zaniedbają nigdy polecić myśliwemu, aby nie strzelał, ile możności, do ojca i matki stadka, do koguta szczególnie, który zwykle pierwszy się zrywa, ponieważ twierdzą, co zresztą jest prawdą, że uczą oni swe dzieci kryć się wobec ptaków drapieżnych i bronić się wobec myśliwych, w końcu ponieważ stare kuropatwy w następnych wiosnach coraz obficiej się lęgną. My Francuzi zawsze prześladujemy kuropatwy, które w lesie zapadły; Niemcy wyczekują na kraju lasu, aż się zerwą, co zwykle rychło się dzieje; w celu przyspieszenia wzlotu używają strażnicy świstawki, naśladującej wybornie głos wabienia się kuropatw. Podziwiałem zawsze wytrwałość niemieckich myśliwych w wyszukiwaniu kuropatw spadłych, rzadko którą stracą. Nie mniej też podziwienia godną u strażników jest znajomość dokładna wszystkich stadek, jakie się znajdują w ich obrębie. Wszystko to zbyt oddalone jest od nas, a w tej chwili Niemcy usiłują zbliżyć się do naszego i angielskiego trybu polowania.

Nie mogę się powstrzymać od przytoczenia zdania o wyżłach pewnego posiadacza ziemskiego z Czech, który przepędza pewną część roku we Francyi, a który tak dobrze jak i my, może nawet lepiej, zna nasz zwierzostan, nasze łowiectwo i nasze rasy psów: „Jest rzeczą niezawodną, że myśliwstwo w ogólności, a kwestya wyżłów w szczególności — mówił mi — stanowią istotną chorobę, którą nawidzona bywa większa część możnych lubowników łowów. Wielkie starania poprawy ras psich były na razie pochwały godne. Ale nie trzymano się tego. Czytaj pan nasze pisma czasowe, nasze książki o myśliwstwie, pojawiające się niemal z każdym dniem, a wnet spostrzeżesz, że choroba stała się raną. Następstwo to fatalne uprzedzenia moich ziomków, którzy to tylko cenią, co pochodzi z zagranicy. Niegdyś mieliśmy nazwę „Zwinger“, dziś znaczy to „Kennel“, i tak trzeba dla dogodzenia modzie mówić; nasze psy nie rodzą już szczenięta, lecz „puppie“, w końcu nasi nowocześni reformatorowie twierdzą, że psy niemieckie się dresują, a angielskie wychowują. Jakby dla koni wyścigowych przeznacza się premie, nagrody, aby podnieść chów psów; nie upływa tydzień, iżby się nie czytało w którem z pism myśliwskich, iż jakiegoś psa kupiono za znaczną sumę, że cena innego podskoczyła do stu marek i więcej. Jak pan widzisz, jesteśmy bliscy rozpoczęcia handlu na wielką stopę psami. W dawniejszych czasach posiadcz dobrego psa chętnie go dawał swemu sąsiadowi w celu połączenia z również dobrą suką — dzielono się potomstwem, najpiękniejsze naturalnie zostawiając dla siebie. Nigdy, przenigdy nie byłby dał amator dobrej rasy swego psa w celu połączenia go z ladajaką suką, niemającą w sobie wszelkich warunków prokreacyi szlachetnego płodu. Dziś inaczej się dzieje, dziś mamy zakłady kopulacyi psów, cena tej kopulacyi jest bardzo wysoka. Pewnem jest jednak, a smutne to zaprawdę, że spekulacya, kwestya zysku wmięszały się do pierwotnego założenia, które było dobre i miało na celu uszlachetnienie ras psich, a teraz jest niczem więcej, jak pozorem wyzyskiwania. Nie da się zaprzeczyć, że nasze rasy, chów psów, znajdują się obecnie w opłakanym stanie, to wszakże pewne, że sposób postępowania, wyżej przezemnie wymieniony, nie wydobędzie nas z tego chaosu. Zresztą rzecz się ma z psami tak jak z łowami, które zastąpiono prostą strzelaniną; psy są takimi, jakimi są ich panowie, średniej wartości strzelcy. Jest to zdanie wszystkich naszych starych praktyków, którzy, mogę o tem zapewnić, wiele więcej warci, jak dzisiejsi reformatorowie. Byłem gorącym zwolennikiem psów czystej krwi, ubolewam też nad nierozumnem krzyżowaniem, do jakiego dały powód psy angielskie. W królestwie Hanowerskiem wprowadzono na wielką stopę pointera, a łatwo sobie tę rzecz wyjaśnić można pokrewieństwem króla z dworem angielskim i arystokracyą hanowerską. W Czechach zapragnęli także możni panowie, kładący największą wagę na polowanie z wyżłem, mieć psy angielskie. Są też myśliwi polujący po polach i rozległych krzakach; takie miejscowości wymagają koniecznie psa szukającego z podniesionym nosem, wietrzącego z dalekiej odległości zwierzynę. Myśliwy zamożny nie dba o to, iżby miał psa oddającego mu wszelkie posługi, za pieniądze dostaje on z łatwością tyle psów, ile jest rodzajów polowań. Całą rozkoszą dla niego następować za szukającym psem z wiatrem niesłychanym, zsiąść z konia, gdy on zwierzynę wystawi, strzelać i tak czas spędzać, a szczęśliwym jest, że może używać przyjemności nie dla każdego przystępnej. Nie ma wątpliwości, że pies angielski posiada znakomite przymioty, ale tylko wtedy, jeżeli się go nie używa po za jego specyalnością; odznacza się on nadto jako wyżeł wybornym wiatrem i siłą nóg, rozkoszą jest widzieć go pracującego bądź to na polu, bądź w lesie, nie można się jednak wcale dziwić, gdy ów dzielny towarzysz myśliwego wpadłszy w las zniknie z oczów, i że odszukany bywa dopiero po dłuższym czasie, wystawiający bażanta, słonkę lub inną zwierzynę. Rzeczą naturalną, iż komu nie idzie o pieniądze, pragnie mieć takiego psa choćby tylko dla dogodzenia wymaganiom mody, ale to już jest zadowoleniem miłości własnej, której odmówić sobie muszą myśliwi, stanowiący znaczną większość. Jeśli pan polujesz w kraju bogatym w zwierzynę, możesz wybornie zabić wiele kuropatw z wyżłem, nie posiadającym znakomitych przymiotów psa angielskiego; będzie to trwało nieco dłużej, ale tem więcej użyjesz przyjemności. Przeciwnie w miejscu ubogiem w zwierzynę, pointer będzie odpowiedniejszym. Takie jest ustalone mniemanie u nas, zdaje mi się usprawiedliwione. Lecz pointer traci swe przymioty, gdy go odsuniesz od jego specyalności, co nie dotyczy psów niemieckich, które do wszystkiego służą. Nie da się zaprzeczyć, że można pointera przełamać, poskromić, nagiąć do pewnego celu, ale z jakim trudem, ileż to siły woli do tego potrzeba! Nasi ziomkowie, hołdujący angielszczyznie, nie przypuszczają możności ułożenia psa niemieckiego na wzór wyżła angielskiego, który powinien tylko zwierzynę wystawiać. Układając go od młodości, mówią oni może nie bez słuszności, odejmiesz mu część przyrodzonych usposobień do wystawiania. Według nich pies układany forsownie nigdy nie będzie dobrym, i dlatego to chcą oni, naśladując Anglików, aby używano pointerów przy polowaniu na kuropatwy, seterów na słonki, na bekasy schekenów, starej, znakomitej rasy holsztyńskiej, pudlów i gryfonów na wodę. Zbytek ten w psach, specyalnie używanych do każdego rodzaju polowania i do każdej zwierzyny, jest niezaprzeczenie doskonałością i przypada wybornie do zwyczajów i majątków możnych panów angielskich. Co do nas starych myśliwych dawnej szkoły, my trzymamy się naszych starych wyżłów, tych wiernych i serdecznych towarzyszów, z których każdy tyle usług oddaje, ile wszystkie rasy psów angielskich razem, którego edukacya nie wiele trudów wymaga, który wystawia zwierzynę za pierwszym razem, gdy go się na polowanie wyprowadzi, z którym rzadko wydarzy się stracić spuszczoną kuropatwę, który obojętnie patrzy na zające, przemykające mu pod nosem; idzie na wodę, naszczekuje w jamie, prześladuje po tropie, często bardzo daleko, i atakuje rogacza postrzelonego; który czyta w oczach pana jego zamiary, igra z jego

dziećmi i kocha je, strzeże domu, którego jest najpewniejszym i najwierniejszym przyjacielem. Jakżeż skromny myśliwy nie ma przenosić takiego wielostronnego wyżła nad psy zagraniczne, które mają wartość w swej ojczyznie, których my wszakże zdaje mi się wcale nie potrzebujemy. Oto, kochany panie, moja odpowiedź na wszystkie twoje zapytania; upoważniam cię do zużytkowania jej, o ile tego będziesz czuł potrzebę.“

Polowanie na kuropatwy z wyżłem było w użyciu bardziej u szlachty i bogatych myśliwych, cały zaś świat łowiecki, ktokolwiek był lubownikiem łowów, był oddany obławie zimowej, którą nazwaćby można żniwem na zające. Niemcy polują z obławą tylko w zimie, bądź na polu, bądź w lesie. Dzieli się ona na dwa rodzaje: na obławę w miejscu, tak jak u nas, przy której myśliwi pozostają na oznaczonych stanowiskach, i na obławę kołową, postępującą naprzód na wielkich polnych przestrzeniach. Gdzie polowania na zające urządzane są niejako w uregulowane mioty, nie poluje się każdego roku w tym samym obrębie Ponieważ zwykle liczba strzelców i naganiaczów jest znaczną bardzo, zachowuje się wszelkie ostrożności w celu zapobieżenia wypadkom. Na karcie zaproszenia wyrażony jest cały tryb zachowania się podczas polowania, cyfra grzywny za każde nierozważne przekroczenie przepisów. Grzywny te odsyłane bywają na cele dobroczynne najbliższej miejscowości. Aby uchylić wszelkie pozory dla usprawiedliwienia się, odczytuje się myśliwym przed rozpoczęciem łowów cały regulamin, a brzmi on w tych słowach: 1. Strzelby mogą być używane tylko z przyrządem zabezpieczającym. 2. Po każdym miocie powinna być każda strzelba zabezpieczona. 3. Śród nagonki i przechodząc z jednego miotu do drugiego, zawiesić należy strzelbę na ramieniu lufą do góry. Myśliwi używający broni odtylcowej, winni wyjąć ładunki. 4. Myśliwy mający ze sobą psa, musi go trzymać podczas gonu na linewce. Bezwzględnie nie wolno zchodzić z ścieżki lub drogi, przechodząc z miotu do miotu. 5. Myśliwy, któremu z rąk strzelba wypada, podlega grzywnie. 6. Myśliwy, strzelający w środek koła postępującej nagonki, bywa po raz pierwszy karany grzywną, następnie natychmiast z koła usunięty. 7. Nie wolno strzelać do zająca dalej jak na 40 kroków. 8. Przed zakończeniem gonu nikomu pod żadnym pozorem nie wolo opuścić swego stanowiska. 9. Podlega grzywnie, ktokolwiek strzela do innej zwierzyny, nie do dozwolonej, na przykład do kozy zamiast do rogacza, jak to się zdarza w miotach leśnych. — Zdawała mi się pożyteczną wiadomość o tym regulaminie, który radbym z wielką przyjemnością zaprowadzić u nas. Nie poluje się z obławą w jesieni, gdy zające trzymają się legowisk i przepuszczają mimo siebie naganiaczów; w zimie tylko, w pięknej porze, gdy ziemia pokryta śniegiem, bawią się Niemcy tego rodzaju łowami. Zdarza się czasem, że 30 do 40 strzelców i odpowiednia liczba naganiaczów łączą się z sobą; dzieje się to dla uniknienia straty czasu. Wszelkie przygotowania poczyniono w przeddzień takiego polowania, na którem bije się 500 do 1000 zajęcy, a nawet więcej. Zarządzenia te, czynione naprzód, polegają na oznaczeniu numerami stanowisk, jakie zająć mają myśliwi, na urządzeniu jam wszędzie gdzie nie ma drzew, wygrzebaniu rowów lub kryjówek dla ukrycia się w nich. Jamy powinne być dosyć głębokie i obszerne, aby dwie osoby mogły w niej zasiąść. Pochód nagonki, zawsze z uwzględnieniem wiatru, jest najstaranniej obmyślany, dobrze naprzód uregulowany, aby się nie narazić na zwłokę, na stratę czasu w chwili rozpoczęcia łowów. Zarządza się tak o ile możności, iżby myśliwi mieli wiatr na skrzydłach czyli z boku. Wreszcie strażnicy winni znać przesmyki i kryjówki zajęcze i umieć temu zapobiedz. Skutek polowania tem pewniejszy, im lepiej owe przygotowania są poczynione. Co do szyku, w jakim nagonka powinna być prowadzona, podzielone są zdania. Jedni twierdzą, iż trzeba ją rozpocząć z wiatrem wschodnim, a to w celu późniejszego odszukania zajęcy, które się przebiły przez obławę; to zdanie nie ma wiele zwolenników. Inni, stanowiący większość, chcą, żeby obława działała z bliska, by naganiacze pozostawali po każdym miocie na miejscu, a myśliwi zmieniali stanowiska. Takie urządzenie pozwala szybciej działać, w większym porządku, i daje sposobność myśliwym użycia ruchu, ożywienia się, zamiast zasypiania podczas wyczekiwania nader przewlekłego. Aby zrównoważyć szanse o ile możności, wyciąga się losem stanowiska, po każdym miocie zstępują myśliwi o jeden numer tak, iż pierwszy staje się drugim. Przy wielkich obławach w polu nie używają Niemcy więcej strażników do prowadzenia jej, jak trzech i jednego na koniu, który kieruje polowaniem i na wszystko baczne ma oko. Strzelcy i nagonka udają się na swe stanowiska w głębokiem milczeniu. Myśliwi rozstawieni są o 80 ledwie kroków od siebie, mogą więc strzelać do każdego zająca, który przemyka między nimi. Przy ustawianiu nagonki wzmacnia się skrzydła większą liczbą ludzi, przez nie bowiem, a nie środkiem, przebijają się najczęściej zające. Naganiaczom nie wolno biedz, krzyczeć, rzucać kije swe na zające, zmieniać odległość i występować z porządku. Na obszernych polach, gdzie nie ma drzew i krzaków utrudniających pochód, widziałem używane sznury z zawieszonymi na nich wiechciami słomianymi. Sznur taki trzymają naganiacze, tworzą więc nieprzerwaną linię. Tym sposobem żaden zając nie pozostanie w kotlinie i nagonka go nie pominie. Podczas gonu kierujący polowaniem zwalnia lub wstrzymuje skrzydła w miarę kształtu terenu i wagi zwierzyny do przebijania się w tym lub owym punkcie. Jeżeli w pewnej chwili kanonada staje się ożywioną, wstrzymuje kierownik nagonkę w celu utrudnienia zającom przeboju. Gdy naganiacze zbliżą się do myśliwych na 150 kroków, nie wolno strzelać w środek koła. Wszystkie ruchy wykonywane są na znak dany trąbką nader donośny. Niektórzy autorowie opisu takiego rodzaju polowania radzą w pewnych wypadkach nadawać nagonce formę lejka czyli trójkąta. To pewne, iż tym sposobem można więcej ubić zwierzyny, jednak w takim tylko razie, jeżeli skrzydła dobrze są strzeżone. Niestety ów system, rzadko używany, daje powód do smutnych wypadków; gdy ziemia od mrozu stwardnieje, mogą strzelcy, ustawieni na szczycie trójkąta, dosięgnąć śrótem innych. Z końcem polowania robi się obrachunek, liczą się zające i oddają kupcom zwierzyny, którzy je ładują na wozy, pojawiające się nad wieczorem. Zwykle straż leśna szuka jeszcze z wyżłami postrzelonych zajęcy lub martwych już. Niemcy, którzy wynaleźli polowanie kociołkowe, nie są wielkimi jego zwolennikami, ponieważ jest ono przyczyną wielu wypadków i nie dozwala strzedz myśliwych, którzy często strzelają zbyt daleko, kalęczą wiele zajęcy, następnie straconych. Przyznają jednak, iż w pewnych miejscowościach, jak w okolicach ogromnych nizin, polowanie kociołkowe jest nader przyjemne.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

O CHOWIE SANDACZA

PRZEZ

Dra. M. Nowickiego.

Sandacz (sudak, Schill, Zander, Fogas, Lucioperca Sandra Cuv.) znajduje się w dorzeczach Dunaju, Dniestru *), Dniepru, Przegoli, Wisły, Odry i Łaby, natomiast nie ma go w Wezerze i w Renie wraz z Menem. Żyje on w krainie leszcza tych rzek, u nas Wisły**) i Dniestru, jakoteż w przynależnych rzeczyskach i jeziorach. Należy w Galicyi do rzadszych ryb, gdyż rybacy tępią go podczas tarła i nie szczędzą także niedorosłych okazów, a do tego zdaje się utrudniać sandaczowi jak karpiowi swobodne rozmnażanie się szczupak, który jako rabuś rozpowszechnił się w tutejszych wodach i takowe opanował, do czego mu znowu dopomogło zaniedbane u nas rybołowstwo; zresztą nie weszło to u nas jeszcze w zwyczaj hodować sandacza w stawach pospołu z karpiami, jak się to dzieje od dawien-dawna w Czechach u ks. Schwarzenberga, gdzie do karpiów dodają 10% sandaczów i z nich nieposlednie korzyści osiągają. Niepomyślny to zaiste stan rzeczy, i dałby Bóg, aby wnet zmienił się na lepsze, zwłaszcza że dana jest ku temu możność przez dokonane już zbadanie i poznanie warunków chowu sandacza, a nadto Galicya cieszy się już także ochronną ustawą rybacką, która zapobieży dalszemu niszczeniu i marnowaniu ryb. Poniższe ustępy przedstawiają poczynione dotąd doświadczenia nad chowem sandacza i rozsyłką jego narybku żywego, aby mogli z nich korzystać właściciele wód, którzyby chcieli zająć się chowem cennego sandacza, do czego z góry życzymy im szczere Szczęść Boże.

a) Naturalny chów sandacza w jeziorach i stawach***).

Sandacz będąc rybą smaczną i dlatego popłatną jak łosoś, wzniecał już od dawna myśl hodowania go i rozpowszechniania. Ale pierwsze w tym względzie czynione usiłowania zmierzały do sztucznego zapładniania, zalęgania i rozsyłania jego ikry, albo też do wylęgania narybku i rozsyłania w różne strony dla zarybienia wód, słowem zmierzały one do sztucznego chowu sandacza, jak się to ma rzecz z rybami łososiowatemi. Tak np. jeszcze przed 20 laty słynny ichtyolog v. Siebold, wydając swe dzieło o rybach wód słodkich Europy środkowej, przemawia na str. 52 za tem, aby sandacza więcej rozpowszechniać w południowych Niemczech za pomocą rozsyłania sztucznie zapłodnionej i zalęgłej ikry, gdyż rozwożenie samego sandacza jako ryby życia słabego tylko z trudnością udać się może. Ostatniemi znowu laty Niemieckie Tow. ryb. w Berlinie wyznaczało nawet znaczne nagrody za sztuczny chów sandacza i innych ryb porą letnią trących się, o czem bliższe szczegóły podane są w jego cyrkularzach, ale co do sandacza zachęta nie odniosła skutku, a tylko hodowcy szczupaka, okonia i jesiotra uzyskali nagrody. Galicyjskie Tow. ryb. również wciągało w zakres swego działania sztuczny chów sandacza. W tym celu umawiało się z krakowskimi rybakami, sprawiło do przechowywania tarlaków skrzynię rybacką, a do wylęgania ikry osobną wylęgarnię, sporządzoną na wzór wylęgarni, której w Ameryce używają do chowu rzecznego śledzia „Shad“ zwanego, a której model ofiarował prezes Niemieckiego Tow. ryb. v. Behr. Skrzynię i wylęgarnię umieszczono w Wiśle pod Krakowem. Jednakże na poczynionych w ten sposób przygotowaniach rzecz poprzestała, ponieważ rybacy zajęci troską o byt codzienny, zwlekali z przystąpieniem do czynu, zaś Tow. ryb. nie rozporządzając ani odpowiedniemi wodami, ani też potrzebnymi środkami pieniężnymi i pracownikami, nie mogło chowu sandacza w pożądany sposób prowadzić na własną rękę. Przy takim składzie rzeczy zwróciło się Towarzystwo do br. Aleksandra Gostkowskiego, właściciela dóbr Tomiec koło Wadowic i hodowcy ryb, z prośbą, aby zechciał się podjąć chowu sandacza w swoich stawach. A uczyniło to dlatego, że tomickie stawy leżą w tym pasmie zachodniej Galicyi, gdzie nad rzekami Wisłą, Białką, Sołą i Skawą istnieją od wieków liczne gospodarstwa stawowe, które nie uległy zastojowi, lecz postępują ze zdobyczami praktyki i nauki, w skutek czego przynoszą korzyści znaczniejsze od dawniejszych i wydają narybek karpia do 6, a nawet po części do 11 cali długi. Stawy te zasila dobra i czysta woda z górskiego potoku Choczewka, są one przytem zabezpieczone od wylewów, a co główna, mogą być całkowicie spuszczone i bywają też każdej zimy odwodniane, a przeciwnie każdej wiosny na przemianę jedne z nich przez $4\frac{1}{2}$ lat znowu nawodniane i zarybiane, drugie zaś przez $1\frac{1}{2}$ roku trawami i koniczyną zasiewane, służąc także za pastwiska. Do przezimowania ryb służą osobne sadzawki, które latem stoją bez wody.

Baron Gostkowski przychylił się do prośby Tow. ryb. tem chętniej, ile że sam pragnął już od dawna hodować sandacza w swych stawach, gdzie go nie było, i w tym też celu jeszcze w Kwietniu 1880 r. sprowadził sobie z Wisły 6 sandaczy po $\frac{1}{2}$ kilo ważących. Te rzeczne sandacze prze-

*) Z Dniestru przytacza Dr. Kner czarnomorskiego sekreta (Lucioperca Volgensis Nordm.), atoli późniejsi badacze w Galicyi nie mogli stwierdzić jego tutaj istnienia, a także Kessler i Belke wcale go tam nie wymieniają, lecz tylko z dolnego biegu Dniepru, gdzie się nazywa sekretem lub berszykiem, jak to podaje p. Wałecki. Sekret jest gatunkiem od sandacza odmiennym i z Dunaju znanym, z którego jednak Prutem nie dochodzi, tak samo jak sandacz, aż w obręb Galicyi, gdyż tu wody Prutu z Czeremoszem należą do krainy pstrąga i brzany, a kraina leszcza będąc ojczyzną sandaczów, rozpoczyna się dopiero po za granicami kraju. Okaz sekreta, dostarczony ongi Dr. Knerowi, snać nie pochodził z galicyjskiej części Dniestru lub Prutu, tylko był dowieziony z innego kraju, przeto indygenat jego należy uważać aż do dalszego wyjaśnienia za wątpliwy, jak to nadmieniłem już w moim artykule: „Das Weichselgebiet und der Lachs“ (Mittheilungen des österr. Fischereivereins Nr. 5) 1882.

**) Nowicki M. Dr.: Krainy rybne Wisły („Gazeta rolnicza“ nr. 23 i 24, „Reforma“ nr. 123 i 126) 1882; Ryby Galicyi (Okólnik nr. II. krajowego Tow. ryb. w Krakowie, „Gazeta rolnicza“ nr. 39, „Łowiec“ nr. 12) 1882; Das Weichselgebiet und der Lachs (Mittheilungen des österr. Fischereivereins nr. 5) 1882.

***) Nowicki M. Dr.: Natürliche Zanderzucht in Seen und Teichen (Circular Nr. 1 des Deutschen Fischereivereins) 1883, Bayerische Fischerei-Zeitung Nr. 4 1883.

wieziono w beczce wozem z Krakowa do Tomic (około 6 mil drogi) i wpuszczono je tutaj do stawu kroczkami zarybionego; 3 z nich zginęły potem w ciągu lata, zaś pozostałe 3 żywe wsadzono po jesiennem odłowieniu stawu do sadzawki, gdzie zimę zdrowo przebywają. Właściwy jednak popęd do wytrwania w raz obranym kierunku dały br. Gostkowskiemu ważne spostrzeżenia, jakie nadleśniczy p. Reuter w Siehdichum poczynił nad naturalnem lęgnieniem się sandaczy w jeziorach, przez niego zawiadywanych, a które to spostrzeżenia przedstawił walnemu zgromadzeniu Frankfurckiego Tow. ryb., odbytemu dnia 10. Listopada 1880 r., zaś niemiecka Gazeta rybacka podała do publicznej wiadomości w numerach 54 i 55 z r. 1880. Według podań tych zauważył p. Reuter wyląg sandacząt najprzód w jednem jeziorze, gdzie stara sosna wierzchołkiem do wody wpadła, potem w innem jeziorze, wzdłuż którego brzegu budowano drogę, przyczem miejscami piasek i kamyczki w wodę zsypywano. Z tego powodu kazał p. Reuter usypać na południowej stronie jezior ławice piaskowe, od brzegu daleko w wodę idące, potem je każdego Maja z osiadłego mułu oczyszczał, a skutkiem tego miał od roku do roku coraz więcej młodych sandaczów. Prócz tego kazał na zamarzniętych jeziorach, w miejscach około 1 metra głębokich, robić przeręble, usypać tam stożki piaskowe i obrzucić je kamieniami, nadto powkładać pniaki o korzeniach mocno rozgałęzionych, i takowe umocować palikami powbijanemi, gdyż sandacze rade są takim kryjówkom i zapewne w nich także trą się. Celem ciągłego krzyżowania sandaczy zarybiał p. Reuter obficie co roku swoje jeziora młodymi sandaczami z innych jezior kupowanymi, przyczem zauważył, że ryby świeżo wpuszczone zawsze się ochoczo trą. To wypróbowane przez p. Reutera postępowanie przy naturalnym chowie jeziornych sandaczy w jeziorach starał się br. Gostkowski zastosować u siebie do stawów i sandacza rzecznego, i osiągnął też pożądany skutek, jak się okaże z następującego opisu.

Na staw tarłowy obrał br. Gostkowski staw 20 morgów przestrzeni mający, który na najniższem miejscu ma 5 metrów głębokości i dno bez porostu, zresztą zaś jest mniej lub więcej na jeden metr głęboki i tylko przy płytszych brzegach do trzeciej części porosły roślinami wodnemi, przez ten staw przepływa czysta woda z potoku wyżwspomnianego, dno jego jest gliniaste i tylko w czwartej części bagniste, grunt całkiem nieprzepuszczalny, a brzegi odsłonione, bo bez zarostu drzew lub krzewów.

Tarliska sztuczne kazał br. Gostkowski w zimie $18\frac{80}{81}$, gdy staw był odwodniony, urządzić w następujący sposób: Nad przekopą stawową prawie w środku stawu, na miejscu około jednego metra głębokiem, wysypano w obszarze około 40 kwadratowych metrów dno stawu grubym żwirem i piaskiem z rzeki Skawy na grubość 10 centymetrów tak, żeby woda nad nasypem na metr prawie się unosiła, a względnie w takiej wysokości tędy przepływała. Na tym nasypie surowym usypano stożki żwirowe ku południowej stronie pochyłe, nadto poniżej w stawie wzniesiono jeszcze taki sam stożek, tylko większych rozmiarów. To sztuczne tarlisko opatrzono jeszcze leżącemi jodłami konarzystemi, prócz tego przykryto niemi w odstępach przyległą przekopę stawową, aby dla sandaczów porobić potrzebne im kryjówki; gałęzie nad powierzchnią wody wystające poobcinano. Do tak przyrządzonego i w Kwietniu 1881 r. nawodnionego stawu wpuścił br. Gostkowski 40 kóp kroczków i 3 pozostałe przy życiu sandacze, a potem jeszcze 3 po $^1/_2$ do 1 klgr. ważące, które znowu z Wisły pod Krakowem świeżo sprowadził. Miał więc razem 6 sandaczy, ile jednak z tego było ikrzaków, a ile mleczaków, tego nie stwierdzono. Na pożywienie dano im drobiazg ryb białych, nałowionych w okolicznych potokach. Na pewien ubytek w przyroście mięsa u karpi br. Gostkowski już z góry się zdecydował. Sandacze starły się, ale kiedy, gdzie i na czem ikrę złożyły, tego nie dochodzono, z obawy, aby przez niepokojenie sandaczów nie przeszkodzić odbyciu się ich tarła. Narybek okazał się licznym, ale szczupaki, które stawowy przez omyłkę wpuścił pomiędzy sandacze, wyżarły go tak dalece, że w jesieni 1881 r. tylko jeszcze około 200 sztuk sandacząt długości od 3 do 4 cali wyłowiono. Tę resztę wpuszczono do sadzawki dla przezimowania, ale i ona poszła na pastwę szczupaków, które znowu same przez mnich czyli pidło zakradły się. Tylko w bagnistem miejscu spuszczonego stawu przechowało się 15 sandacząt, które przetrwały tu łagodną zimę $18\frac{81}{82}$ i w lecie 1882 r. dosięgły długości 20 ctm. Z innych ryb odłowiono w tym stawie 300 kilo mniejszych a 60 sztuk większych szczupaków po 1 kilo, dalej 40 kóp karpi po $^1/_2$ kilo i około 80 kilo linów.

W roku 1882 lepiej się powiódł chów sandacza w tymże samym stanie, którego sztuczne tarlisko nieco przymulone odświeżono w ten sposób, że je motykami przegrzebano. Po nawodnieniu stawu na nowo w miesiącu kwietniu, baron Gostkowski sprowadził do 6 dawniejszych sandaczów, jakie już miał, jeszcze 3 świeże sandacze po $^1/_2$ do 1 kilo wagi znowu z Wisły pod Krakowem, i wpuścił te wszystkie dziewięć sztuk wraz z pozostałymi mu z r. 1881 piętnastoma młodymi sandaczami własnego chowu do stawu, który prócz tego zarybił zwyczajnym rozsadem karpi i linów. Na pożywienie sandaczów dano znowu białe ryby, z których najwięcej było jak się zdaje najmniejszej uklei zwanej słonecznica (błyskotka, kaczoryna, Alburnus delineatus Hack.). Sandacze nie wyjęto ze stawu potarte, lecz zostawiono je w nim przez lato; tylko przeciw wdarciu się szczupaków zabezpieczono staw według możności. Sandacze znów się starły, ale i tym razem nie docieczono, gdzie i kiedy to nastąpiło, czy na przygotowanem tarlisku, czy też na innych miejscach stawu. Ale mniejsza o tę wątpliwość, ważniejszem jest, że się tarło udało, a narybek w wielkiej ilości pojawił i darzył się. W jesieni 1882 r. przy odłowieniu stawu baron Gostkowski zdumiał się nad świetnym skutkiem podjętego przez siebie naturalnego chowu sandacza, albowiem pomijając mnogi narybek, który z wodą przez mnich odpływającą uszedł i zapewne rzekę Skawę zasilił, wyłowiono zawsze jeszcze około 3000 kóp sandacząt, które osadzono w osobnej sadzawce z silnym przepływem wody dla przezimowania, a gdzie się wybornie dotąd trzymają.

Z powyższego przedstawienia rzeczy okazuje się, że według wyników, jakie osiągnął p. Reuter w jeziorach, a br. Gostkowski w stawie, naturalny chów sandacza wiedzie się w obojakich wodach i że do tego nadaje się sandacz zarówno jeziorny jak rzeczny. Wobec tego traci na znaczeniu sztuczny chów sandacza, w skutkach swych wątpliwy, a z zachodami połączony.

b) Rozsyłka narybku sandacza.

Poznanie warunków chowu sandacza jest na polu rybactwa zdobyczą wprawdzie cenną, ale obszerniejsza tej zdobyczy wartość praktyczna zawisła była jeszcze od stwierdzenia możności przesyłania żywego i zdrowego narybku w strony bliższe i dalsze. Tego zadania, choć ono wymagało nie mało zachodów i wydatków, podjął się również br. Gostkowski i rozwiązał je też w sposób pomyślny, wykonawszy w celu próby następujące przesyłki sandacząt.

a) Pierwsza przesyłka, t. j. 33 sandacząt, w blaszance zawierającej 29 litrów wody, odeszła do p. Bornego w Berneuchen w Prusiech. Sandacze te nałapano podrywką dnia 17. Listopada 1882 r. nocą w sadzawce i przewieziono wozem z Tomic do Oświęcima o 4 mile drogi odległego, co wszystko zajęło około 12 godzin czasu. W Oświęcimie nadano je na pociąg pospieszny dnia 18. Listopada o 9tej godzinie z rana, ale z powodu pomylonego adresu posłano je do Werneuchen, zamiast do Berneuchen. W skutek tego przesyłka spóźniła się o całe 24 godzin i była aż 3 dni w drodze, zanim po wymianie kilku depesz doszła dopiero dnia 21. Listopada do Berneuchen. Pomimo tego błąkania się jednak, jakoteż i tej okoliczności, że woda już całkiem zmętniała i nigdzie jej nie odświeżano, zginęło w drodze z 33 sandacząt tylko 23 sztuk, zaś 10 sztuk przybyło w żywym stanie i tylko 3 z nich nieco domęczone, jak to doniósł p. Borne. To przetrwanie dalekiego transportu posłużyło za dowód, że można młode sandacze rozsyłać bez towarzyszącego im człowieka, któryby rybom wodę zmieniał lub też miechem powietrze pompował. Na tej podstawie i ze względu na okoliczność, że narybek sandacza można tanio nabyć, postanowiło Niemieckie Tow. ryb. w Berlinie zaniechać nadal ogłaszania nagrody za sztuczne zapładnianie ikry sandacza i rozsyłanie takowej lub narybku z niej wylęgłego.

b) Druga przesyłka była przeznaczona dla Wisły pod Krakowem, aby tu sandacza pomnożyć. Na ten cel br. Gostkowski ofiarował Towarzystwu rybackiemu 80 kóp sandacząt, które kazał nałapać w Tomicach wieczorem dnia 18. Listopada 1882 r. i trzymać przez noc w obszernym koszu zanurzonym w sadzawce, a raniutko dnia 19. Listopada odwieźć do Krakowa. Stawowy jednak, któremu przewiezienie poruczono, chybił w tem, że wszystkie 80 kóp sandacząt dał do jednej beczki i podczas drogi zmieniał wodę bez względu na jej różną ciepłotę. W skutek tego zginęło pomimo pompowania powietrza za pomocą miecha około 3800 sztuk, nim sandaczęta po ośmiogodzinnej jeździe wozem przybyły do Krakowa. Pozostałe przy życiu sandacze w liczbie około 1000 Tow. ryb. rozpuściło w Wiśle dnia 19. Listopada 1882 r. o 3ciej godzinie po południu przy współudziale Stow. rybaków w Dębnikach pod Krakowem.

c) Trzecia przesyłka 9000 sandacząt miała na celu zarybienie granicznej Wisły między galicyjskim Oświęcimem a pruskim Zabrzegiem, uskutecznione dnia 3. Grudnia 1882 na wspólny koszt Tow. ryb. galicyjskiego i niemieckiego *). Tego samego dnia o świcie spuszczono sadzawkę, potem wyławiano sandaczęta podrywką, gromadzono je w przygotowanym koszu, odmierzono za pomocą siateczki poprzód wypróbowanej i rozdzielono po 25 kóp na 6 beczek wodą z potoka napełnionych, które na trzech wozach stały w pogotowiu. O godzinie 10tej z rana, uporawszy się ze wszystkiem, ruszono do Oświęcima, o 4 mile od Tomic odległego. Całą drogę jechano ostro i nie pompowano powietrza, lecz tylko raz dolano do beczek świeżej wody z potoka. O godzinie 2giej po południu przybyły sandacze szczęśliwie na miejsce przeznaczenia, a w godzinę później już je rozpuszczono w granicznej Wiśle. Przewóz więc udał się tym razem doskonale, tak, że w każdej beczce zaledwie po kilka trupów dostrzedz było można, jednakże inna okoliczność spowodowała dalsze straty. Mianowicie wysadził się w tym dniu jakby na przekorę mróz na 10° R., a do tego wiał jeszcze i wiatr ostry, w skutek czego niemal w mgnieniu oka marzły nietylko siateczki, któremi wyjmowano sandacze z beczek, lecz co gorsza, obmarzały także skrzele sandacząt, gdy na mroźnem powietrzu podnosiły swe wieczka skrzelowe do oddechania. Tym sposobem zginęło nieco sandacząt przy wyławianiu ich z sadzawki, a potem przy wpuszczaniu do Wisły.

d) Kilka kóp przesłał br. Gostkowski prawie bez straty p. F. Pławickiemu do Czorsztyna i J. Eks. Kopfowi do Zakliczyna w Galicyi.

Podana do gazet wiadomość o wychowanym narybku sandacza w Tomicach *) rozeszła się szybko po Austryi i Niemczech i skłoniła właścicieli wód do zamawiania takowego u br. Gostkowskiego, zaś Tow. ryb. w Würzburgu zgłosiło się o krocie narybku, aby nim zarybić Ren z Menem i jezioro Bodeńskie, gdzie dotąd sandacza nie było. Br. Gostkowski przyjął zamówienie, pragnąc jednak poprzód zapewnić się co do tego, czy sandacze przetrwają tak daleką podróż, posłał:

e) na prośbę 6 kóp przez Drezno do Seewiese dnia 20. Grudnia 1882. Odeszły one z Oświęcima pociągiem pospiesznym w dwuwiadrowej beczułce przewozowej według systemu Köttla **), a towarzyszył im rybak br. Gostkowskiego, aby pompował powietrze miechem, przy jednym końcu beczułki umieszczonym. Doszły nazajutrz wieczór do Seewiese, dokąd je z ostatniej stacyi kolei jeszcze 2 mile wozem przewieziono. Były 46 godzin w drodze i przetrzymały ją nadspodziewanie dobrze, bo za przybyciem na miejsce znaleziono tylko 3 sztuki usnięte. W drodze zaszedł ten wypadek, że beczułka ciekła na przestrzeni między Görlic a Droznem, w skutek czego sandacze przez parę godzin nie miały więcej nad 2 cale wody nad sobą, ale ratował je rybak pilnem mieszkowaniem, nim zdołał beczułkę pozalepiać podczas przestanku w Dreznie. Zauważył przytem rybak, że sandacze podczas drogi szykowały się wzdłuż blaszanego sita na dnie beczułki umocowanego, którem wychodziły banieczki powietrza podczas mieszkowania. Dalej przekonał się, że podczas ruchu pociągu beczka i woda się rusza i mieszkować nie potrzeba, ale jak tylko pociąg stanie, wtedy należy mieszkować wytrwale i pilnie. W skutek udania się tej pró-

*) Szczególny opis tego pamiętnego międzynarodowego aktu rybackiego podał Dr. M. Nowicki w osobnych artykułach, ogłoszonych w „Circular. Nr. 1“ niemieckiego Tow. ryb. i w Okólniku III. Galic. Tow. ryb. z r. 1883.

*) „Czas“ nr. 26, Bayerische Fischerei-Zeitung Nr. 24, Mittheilungen des österr. Fischereivereins Nr. 7, Silesia Nr. 148 z r. 1882 i t. d.

**) Hodowca ryb p. Köttl z Zipf w Austryi wymyślił bardzo praktyczną beczkę przewozową. Galicyjskie Tow. ryb. sprowadziło model tej beczki do przewożenia narybku i udzieliło takowego br. Gostkowskiemu na sandacze.

bnej przesyłki postanowił br. Gostkowski w porozumieniu z p. Zenkiem w Würzburgu dalsze 200 kóp wysłać tam w połowie Marca b. r. Beczki przewozowe według najświeższego modelu od p. Köttla sprowadzonego, są już na koszt Tow. ryb. w Würzburgu zrobione przez bednarza w Wadowicach. Dwóch ludzi konwojowało przesyłkę, na której koszta Niemieckie Tow. ryb. przeznaczyło 900 marek.

Tak więc królowa Wisła prześle wnet jako upominek królowi Renowi z Menem cennego sandacza, aby sobą zarybił wody niemieckie i był na stołach germańskich przysmakiem godnym szlachetnego wina reńskiego. Życzymy tylko, aby i polscy panowie korzystali z pożytecznej pracy br. Gostkowskiego, którą on, jak pisze „Gazeta Lwowska“ (nr. 1. z r. 1883), wyprzedził zachodnie kraje, na dowód, że nie zawsze są wyższymi na wszystkich polach kultury i gospodarstwa.

ZAPISKI MYŚLIWSKIE

R. Wierzbickiego.

(Ciąg dalszy.)

Pomniejsze lasy prywatne położone są w powiecie Kalwaryjskim i Sejneńskim. Las rządowy o pięć wiorst od Suwałk, poczynając od Ustronia, ciągnie się na wschód ku Niemnowi prawie bez przerwy mil około jedenaście aż pod Grodno i Druskieniki, a na południe za Augustow pod Sztabin. Ten jeden las mógłby być matecznikiem dla wszelkiej grubszej zwierzyny. Bagna podług wykazów urzędowych zawierają 26.261, jeziora zaś 250.991½, a rzeki 7.270½ dziesiatyn. Ztąd widać, że gubernia nasza przyjazna pod każdym względem dla rozwoju zwierzostanu, ale czy taki zwierzostan w rzeczywistości istnieje? Bynajmniej! W historyi Litwy Narbutta czytałem, że król Jagiełło z W. X. Witoldem polując przez dwa tygodnie w Wigrach, ubili (o ile zapamiętam): 17 żubrów i 22 łosi. Wigry jest to miejscowość o dwie mile od Suwałk. Tam na kępce, na jeziorze Wigry, połączonej groblą ze stałym lądem, istnieją dziś kościół i ruiny klasztoru po Kamedułach, fundowanych za Władysława IV i Jana Kazimierza, a skasowanych za rządów pruskich. Musiały tu być nieprzebyte, dziewicze lasy, skoro monarchowie zjeżdżali tu na łowy, skoro bili żubry i łosie. I rzeczywiście miejscowość do tego nadawała się, bo jezior, rzek, bagien mnóstwo, a w około dziś jeszcze lasy ciągnące się aż pod Grodno, dawniej zaś łączące się niezawodnie z lasami pod Knyszynem w leśnictwie Rajgrodzkiem. Teraz u nas nietylko nie ma wcale żubrów, niedźwiedzi i łosi, ale nawet tradycya o nich zaginęła. Tylko nazwy miejscowości i znajdowane rogi budzą o nich wspomnienie. I tak w powiecie Suwalskim mamy wsie: Żubryń, Żubrynek, Turówka, Jeleniewo, Sobolewo, Bobrowisko; w powiecie Maryampolskim: Łosiszki, Bobroliszki, Sobolony; w Kalwaryjskim: Sobolewo i Soboliszki; w Wołkowyskim: Soboliszki; w powiecie Sejneńskim wsie: Żubronajcie, Łosewicze i Bobry. Są też i litewskie wsie: Meszkinie, Meszkabudzie, Meszkopienie, Meszkucie w powiecie Maryampolskim, oraz Meszkinie i Meszkabuda w powiecie Władysławowskim, wiodące swój źródłosłów od litewskiego wyrazu Meszka, co znaczy niedźwiedź, jak również wieś Bredziszki w powiecie Maryampolskim i Władysławowskim wieś Bredzie, pochodzące od wyrazu bredzis, co znaczy łoś. Wszystkie te nazwy widocznie wzięte od przebywającego tam niegdyś zwierza. W moim też zbiorze pamiątek myśliwskich mam dwa rogi łosie, z których jeden znaleziony w jeziorze Duś, a drugi w torfowisku pod Sapieżyszkami, oraz trzy rogi jelenie, znalezione w jeziorze Wigierskiem i Raudacz, i w rzece Amałuca czy też Dawinia pod Nowopolem. Mam i ząb wielkich rozmiarów jakiegoś trawożernego zwierzęcia, znaleziony w Kleszczówku przy kopaniu rowu. Wszystkie te nazwy i rogi dowodzą o istnieniu niegdyś w naszych stronach żubrów, łosi, niedźwiedzi, jeleni, bobrów i soboli. Co do łosiów dodać mogę, że za mojej pamięci ubito w naszej gubernii w różnych czasach cztery łosie. Były to przybłędy z Kurlandyi lub Białowieżskiej puszczy w Grodzieńskiem. Jednego ubił w okolicach Lubawa p. M. M., drugiego w okolicy Kalwaryi ranił p. K., a chłopi znalazłszy osłabionego dobili w bagnie, dwa zaś pokazały się pod Siennem, jednego z nich postrzelono, zapędzono do jeziora i tam zakłuto widłami, drugiego zaś potem ubił strzelec w Stejderyszkach. Gdyby nie takie bezlitośne prześladowanie, możeby te cztery łosie, wysłane widać na zwiady, tu się osiedliły i przyprowadziły za sobą więcej. Słyszałem niedawno o ubiciu dwóch rysiów, żbika widziałem żywcem złapanego, w roku zaś zeszłym ubito przechodniego dzika.

Obecnie z czworonożnych zwierząt łownych są u nas tylko sarny, wilki, lisy, borsuki, wydry, zające, kuny i tchórze, a z ptactwa głuszce, cietrzewie, jarząbki, słomki, kaczki, nury, dubelty, kszyki, ficlauzy, bataliony, kuliki, chruściele, łyski, kurki, rybitwy, gęsi, żórawie, siewki, drozdy, jemiołuchy. Słyszałem, że przed czterma laty o milę od Suwałk koło Bokaniuka przybłąkał się był jeleń z Prus i kilka dni tułał się koło bydła, pasącego się w lesie. Najwięcej sarn jest w lasach donacyjnych hr. Berga w Buchcie, dotykających bagien Pole, gdzie je troskliwie pielęgnował poprzedni leśniczy p. K., oraz w lasach prywatnych Giełgudyszkich i Zyplowskich, bo i tam doznają opieki. Są małe ale rzadkie stadka i w lasach rządowych, a najwięcej ich było w Okole, przeszłym na majorat, koło Augustowa. Jak łatwo zaprowadzić sarny nawet w małym lesie, dowodem tego p. Z. J. z K., który ma zaledwie 5 czy 6 włok lasu, a zbierał i kupował zkąd mógł sarny i jarząbki tak, że sarn bywało do kilkudziesięciu sztuk. Gdy jednak sarny lubią wędrówki i wychodzą na pola, więc i tu pomimo dozoru kłusownicy je przetrzebili. Z Prus często przychodzą sarny do sąsiednich prywatnych lasów, ale ledwie się pokażą, zaraz sami właściciele spraszają znajomych i tak długo uganiają za sarnami, aż je wytępią lub przepłoszą, zamiast zostawić w spokoju.

O wilkach często słychać, nawet na polach Suwalskich podusiły razy kilka konie i krowy. Robią na nie obławy, ale nieumiejętnie, więc z małym skutkiem. Lisy dosyć częste, borsuki i wydry rzadkie. Zajęcy są dwa gatunki: na polu, w małych lasach i po brzegach większych zwykły szarak, w głębi zaś lasów są bielaki, a i te często wychodzą na brzegi. Trzy

razy sam byłem świadkiem, jak bielaki bito o pięć lub sześć wiorst od Suwałk. Zajęcy jest u nas jeszcze dosyć. Pod tym wyrazem nie rozumiem ubicie jednego dnia 400 lub 700 sztuk, jak to się dzieje w Galicyi i w Poznańskiem, ale chodząc dzień cały po polu, może jeden myśliwy ruszyć 6 do 10 zajęcy. Gdyby odebrano kłusownikom i strzelcom leśnym fuzye i przez kilka lat powstrzymano tępienie, toby się zające u nas znacznie rozmnożyły. I tak dziw, że jeszcze istnieją, w samem mieście jest do 40 amatorów, a w każdej wsi kłusownik.

Głuszce i cietrzewie są w większych lasach rządowych, jako to w leśnictwach Gryszkobuda, Pilwiski, Suwałki, Pomorze, Augustów, Balinka i Hańcza, ale nieliczne, bo tępią je wiosną na tokowisku. Teść mój, ś. p. Dominik Stefanowicz, także myśliwy, opowiadał mi, że jeszcze koło roku 1835 strzelał cietrzewie przed wyżłem w lasku pod Szwajcaryą, o 5 wiorst od Suwałk, gdzie teraz z ptactwa tylko sojkę lub kwiczoła znaleźć można. Jarząbki i słomki rzadkie, kaczek powinnoby być jak mrowia, a jednak ich nie wiele, nie wiem z jakiego powodu. Ojciec mój koło roku 1840 przynosił ich z Pal po 40 i 50 sztuk. Czapla i bąk rzadkie. Dubelty lęgną się na polach koło Lipska i nad kanałem Augustowskim, a w jesieni są też na Poszeszupiu, Szczebrze, Kalnicy i po mniejszych bagnach, ale z każdym rokiem ich mniej. Przed 30 laty w pięciu ubijaliśmy pod Poszeszupiem przeszło 70 dubeltów, a pod Walnem we trzech do 30, teraz pojedyńczy myśliwy jeżeli ubije 5 do 6 sztuk, uważa to za dobry połów. Kuropatw jeszcze dosyć, zwłaszcza w latach 1881 i 1882 było ich wiele. W ciągu dnia można ich było spotkać trzy do czterech stad. Kłusownicy mordują je zimową porą, łowiąc w sidła. Nikt o opiece nad niemi nie myśli. O ile wiem, jeden tylko obywatel, p. Sw. z M., lubo nie myśliwy, sypie im żer, każe zabierać sidła i chowa w szpichlerzu po kilkadziesiąt sztuk przez zimę, aby je na wiosnę wypuścić, to też u niego wiele kuropatw. Siewki przylatują w jesieni na pola obsiane żytem w wielkich stadach, ale trudno je podejść. Lęgną się czasem, ale nielicznie i u nas na Palach. Łabędzie rzadko sie pojawiają, tylko w przelocie, a gęsi i żórawie w jesieni. Po kilka par żórawi gnieździ się nawet pod Szczebrą i Łanowiczami. Główną więc zwierzyną w naszych stronach są zające i kuropatwy. Spostrzegłem, że zające i kuropatwy w powiatach północnych, gdzie sieją wiele pszenicy i koniczyny, daleko większe od tych, jakie się znajdują w okolicy Suwałk na roli żwirowatej i kamienistej, gdzie mało pszenicy i koniczyny. Przepiórek też w tych północnych powiatach daleko więcej, ale zawsze mniej w porównaniu z ilością w południowych guberniach Królestwa, gdzie je łowią rozjazdami po kilkadziesiąt sztuk. Zapewne pochodzi to ztąd, że w naszej gubernii prosa wcale nie sieją. Że u nas były pardwy przed laty, wiem od ojca i teścia, bo pierwszy strzelał je koło Alexoty, drugi koło Kidul nad Niemnem, p. S. M. zaś mówił mi, że przed 40 laty znalazł i ubił jedną pardwę pod Krzywem koło Suwałk w zaroślach. Dziś o nich wieść zaginęła.

Zastanowić się należy, jakie są przyczyny ubytku zwierzyny i jakie środki zapobieżenia temu? Do zmniejszenia zwierzostanu przyczyniły się: 1. nadmierne wycinanie lasów, 2. osuszanie bagien i korczowanie zarośli, 3. rozkolonizowanie włościan, 4. rozmnożenie się kłusowników, 5. nieobserwowanie przepisów prawno-policyjnych co do polowania, 6. brak u większych posiadaczy ziemskich zamiłowania do myśliwstwa.

Co do punktu 1. Rządowe lasy zmniejszają się. Już za mojej pamięci wycięto w okolicy Suwałk około r. 1846 koło Wigier cały obręb Cieszkinie. Kiedy przed dwudziestu kilku laty u nas i w Prusach robactwo stoczyło całe lasy świerkowe, to w Prusach pnie wycięto, ziemię skopano i obsiano i teraz jest nowy las, a u nas całe obszary koło Wigier, Żytin i Kopca rozdano włościanom. Część lasu pod Szwajcaryą po r. 1864 także wycięto i również oddano bezrolnym. Często sprzedają się drobne tak zwane odpadki. Zawsze przecież rządowe lasy stanowią jeszcze imponującą przestrzeń. Chociaż wielkie przestrzenie lasów rozdano dla majoratów, to przecież jest tam nadzór rządu i wycinać wolno tylko podług planu gospodarczego. Ale najgorzej dzieje się z lasami prywatnymi. Gdy obywatel w kłopotach i nie ma czem zapłacić rat Towarzystwa kredytowego i podatków skarbowych, lub gdy komornik grozi subhastacyą za długi prywatne, to wtedy jedynym środkiem ratunku jest sprzedaż lasu. W ten sposób wycięto i sprzedano (najwięcej do Prus) znaczne przestrzenie, w niektórych miejscach za bezcen, bo właściciele sami nie znają wartości lasu. Wymieniać miejscowości nie chcę. W jednem miejscu obywatel sprzedał las Niemcom, ci wybrali swoje pieniądze, a resztę lasu sprzedali żydowi, żyd zaś sprzedał tylko część lasu i wybrał swoje pieniądze, a pozostał mu w dodatku ładny folwark i spory kawał lasu. Wyjątek co do tępienia lasów widzimy tylko u zamożnych, większych posiadaczy, jak np. w Giełgudyszkach, Zyplach, Błogosławieństwie, Kirśnie; tam lasy szanują i gospodarują racyonalnie. Ale o posiewach lasów nigdzie nie słychać, nic więc dziwnego, że w miarę wycinania lasów zwierzyna się wynosi lub ginie. Wprawdzie wraz z powiększeniem ludności rośnie potrzeba większej ilości roli, ale na ten cel możnaby obrócić mnóstwo bagien, zostających dotąd w stanie pierwotnym, które zajmują 26.261 dziesiatyn (około 52.000 morgów). W roku 1881 czy 1882 odbył się zjazd leśników w cesarstwie i uchwalono przepisy celem powstrzymania tępienia lasów, ale niewiadomo, kiedy one będą wykonywane. A lasy mają przecież wpływ i na nas samych, oczyszczają bowiem powietrze, wstrzymują wichry i północne wiatry, wiejące od niedalekiego Bałtyku, oraz zawieje, zapobiegają nagłemu topnieniu śniegów, a tem samem powodziom, zasilają podczas posuchy źródła i rzeki, zachwycają swą zielonością. Z lasów mamy materyał na zwykłe budowle, okręty i maszty, drzewo na opał, meble i sprzęty gospodarcze, a przytem orzechy, grzyby, jagody, warto więc troskliwie czuwać nad lasami, a na pustkowiach, wydmach i kamienistych gruntach zasiewać lasy. Znam dwie wsie: Okuniowiec i Okrągłe w powiecie Suwalskim, którebym zaraz skasował, gdyby to było w mojej mocy, i obrócił pod zasiew lasu. W Okuniowcu góra na górze, a między niemi niektóre ostrokręgowe, jakby sypane, parów przy parowie, same wyrwy i bagna, a w dodatku wiele kamieni. W Okrągłem nad rzeką Hańczą kamień na kamieniu, ziemi śród kamieni nie widać. Jakiś niezwykły fenomen natury musiał tu nanieść tyle kamieni. Tu trud rolnika daremny, bo ziarno pada nie na rolę, lecz na kamień, a jeśli ziarno zejdzie, to strugi deszczu spłuczą je. Tyle kamieni trudno wybrać, do Suwałk mil dwie, do szosy także mila, a tu są kamienie w pobliżu, więc chyba kopać głębokie jamy, tam grzebać kamienie, albo układać jak siano w sterty, jak to robią w Morgach i Malisowiznie. Między tymi kamieniami trzymają się zające. Gdyby tu zasiać las, byłby daleko większy pożytek, jak teraz z roli.

Co do punkktu 2. Przeciwko osuszaniu bagien i wykorczowaniu zarośli trudno protestować. Słusznie bezużyteczne przestrzenie zmieniają na płodorodną rolę. Zawsze przecież w miarę osuszenia bagien i wycinania zarośli zwierzyna traci

schronienie. Możnaby temu zapobiedz choć częściowo przez pozostawianie małych remiz na nieużytkach i piaskach.

Co do punktu 3. Przed r. 1835 rozkolonizowanie włościan nie było u nas znane, cała wieś żyła w gromadzie, dom obok domu, a grunta tworzyły jedną całość, podzieloną na trzy poletki i na sznury, w miarę liczby gospodarzy, pastwiska były wspólne. Pola włościan miały wtedy obszaru po kilka i kilkanaście włok niezabudowanych. Zwierzyna miała gdzie bujać. Kiedy w r. 1835 wyszło postanowienie rządowe, nakazujące oczynszowanie włościan w dobrach rządowych i donacyjnych, dozwolono włościanom wyjść z niepodzielności w miarę ich żądania i osiedlać się pojedyńczo. Skutkiem tego większa część wsi, a mianowicie w powiatach północnych litewskich, rozdzieliła się na kolonie, t. j. w miejsce dwudziestu siedzib skupionych obok siebie, powstało dwadzieścia oddzielnych osad. Teraz każdy kolonista ma oddzielną siedzibę, jedna od drugiej o kilkaset kroków, czasem o pół wiorsty i więcej, każdy ma swoje grunta koło domu. Pod względem gospodarczym jest to rzeczywiście nader korzystne i byt materyalny takich włościan kolonistów podniósł się znakomicie. Kolonie zwłaszcza w północnych, litewskich powiatach, gdzie równiny i czarnoziem, wyglądają jak dworki. Koło Suwałk, w Sejneńskiem i Augustowskiem, jest jeszcze wiele wsi nierozkolonizowanych, co pochodzi ztąd, że tu grunta liche, żwirowate, górzyste, bagniste, a zatem w razie kolonizacyi jeden dostałby ziemię orną, drugi bagna, trzeci górę, czwarty wydmę piaszczystą. Tu więc trzymają się dotąd w gromadzie pola i łąki, rozdzielone na sznury, pastwiska wspólne. Myśliwstwo straciło wiele z powodu kolonizacyi. Dawniej zające i kuropatwy bujały swobodnie na wielkich obszarach, z dala od wsi, a teraz co kilkaset kroków budowle, na każdej kolonii pełno ludzi, w polu ruch i hałas, pastuchy wybierają jaja i pisklęta, a przytem w każdym domu psy i koty, które włóczą się po polu i tępią zwierzynę. Dlatego na koloniach nie warto nawet szukać zwierzyny, wyniosła się ona na obszerne łany wsiów nierozkolonizowanych lub na dworskie pola. Tu byłby tylko taki środek zaradczy: Każdemu psu uwiązać u szyi drążek, a każdego psa bez tego drążka i kota, spotkanego w polu, strzelać bezwarunkowo, karę zaś za wybieranie gniazd nakładać nie na dzieci, ale na rodziców, którzyby wtedy pilnowali porządku.

Co do punktu 4. Kłusownictwo tak się rozwielmożniło w naszych stronach, że nie ma wsi, w którejby nie było fuzyi, a są po dwie i trzy, wszystkie bez biletu, t. j. bez pozwolenia rządowego i bez opłaty, która jest niską, bo wynosi rocznie tylko rubli dwa. Ale chłop skąpi grosza, a zresztą gdy liczba biletów ograniczona i gdy podług ustawy prawo polowania służy tylko temu, kto posiada najmniej 150 morgów ziemi, to nie każdy z nich dostałby pozwolenie. Najczęściej stary ojciec, mający wyręczenie w synach lub parobkach, włóczy się z fuzyą po polu latem i zimą, nietylko dniem, ale i nocą, bo w nocy zasiada na zająca na wychodnego, lub czatuje przy bagnie na zlatujące się kaczki. Na grunta dziedziczne i majorackie wprawdzie włazi, ale nieśmiało, bo boi się, aby mu fuzyi nie odebrano, ale za to plondruje swobodnie po gruntach włościańskich i w lasach rządowych, a ukradkiem i po folwarcznych gruntach. Mieszkaniec miasta, urzędnik, nie wiele zrobi szkody, bo on tylko w święta może polować, musi nająć furmankę, jechać parę mil, poznawać miejscowość, pytać, prosić właściciela o pozwolenie polowania, a zresztą jako oświeceńszy stosuje się do przepisów. Kłusownik zaś będąc cały dzień w polu, słyszy jak trawa rośnie, wie, gdzie zając przylega, gdzie się wysiadły kuropatwy; on przepisów nie czytał i nie słucha, tłucze o każdej porze. Jeśli spudłuje jednego i drugiego dnia, to na trzeci dzień ubije. Prze go w pole nie tyle upodobanie w myśliwstwie, bo do dubeltów, kszyków, chruścieli wcale nie strzela, żałując naboju, ale prze go w pole chęć zysku, bo sarnę, zająca, kuropatwę sprzeda w mieście. Obywatel i urzędnik zabitej zwierzyny nie sprzeda, oni też nie używają sideł, cewek, a włościanin byle śnieg głębszy, stawia snop owsa na wabika dla zająca i sidła na kuropatwy, łowi też na wiosnę dubelty na tokowisku w sidła. Dlatego też u nas na targu widzieć można codzień po kilkadziesiąt kuropatw i kilkanaście zajęcy, a bardzo mało legło od strzału, co łatwo rozpoznać. O fuzyę nie trudno, bo Prusy blisko, tam można dostać pojedynkę za 5 lub 6 rubli, dubeltówkę pistonówkę za rubli 10, odtylcówkę za 30. Są kłusownicy, którzy mają nietylko dubeltówki pistonowe, ale i odtylcówki. Najwięcej kłusowników jest między Filiponami, zamieszkującymi powiaty Suwalski i Sejneński. A żaden z kłusowników nie ma 150 morgów, t. j. 5 włok ziemi, często ani morga. I rzeczywiście gospodarz mający 5 włok, zajęty rolą, nie będzie trudnił się kłusownictwem. Tu inicyatywa prywatna nic nie poradzi. Wszak na polu kłusownika spotkać łatwo, ale przytrzymać się nie da, gotów strzelić, a zresztą osoba prywatna nie ma prawa pytać o bilet, odbierać fuzyę i aresztować, skoro sąsiedni włościanie nie robią przeciw kłusownikowi opozycyi. Donosić zaś władzy o kłusownikach i wskazywać ich, żaden z myśliwych nie podejmie się, jakkolwiek uznaje ich za szkodników. Tu tylko straż ziemska, gdyby chciała, mogłaby skutecznie ukrócić kłusownictwo, robiąc u podejrzanych rewizye w domu, zabierając fuzye i zwierzynę na polu, usłyszawszy strzały. Sołtys miejscowy nie przyda się tu, bo on sam włościanin, pokumany lub sprzyjaźniony z kłusownikiem. Policya też miejska powinnaby chwytać na rynku sprzedających zwierzynę, żądać okazania biletu na prawo polowania, obejrzeć, czy zwierzyna ubita lub schwytana w sidła, i w razie winy zabierać zwierzynę, a kłusownika odstawić do magistratu; traktyernikom zabronić, aby w niewłaściwym czasie zwierzyny nie kupowali. Gdyby tych środków przestrzegano, gdyby miejsca dla zbytu zwierzyny nie było, ustałoby i kłusownictwo.

Co do punktu 5. I u nas jest ustawa rządowa o polowaniu z r. 1871, jest ona dobrą i wydałaby korzystne rezultaty, gdyby tylko ktoś pilnował jej wykonania. Należałoby, aby władze rządowe wydając pozwolenia na polowanie, dawały każdemu i tę ustawę z obowiązkiem stosowania się do niej. Należy surowo zalecić wójtom, sołtysom i strażnikom ziemskim, aby ściśle przestrzegali wykonania tej ustawy, a myśliwym niestosującym się do przepisów, odbierali pozwolenia, i na niższych wykonawców władzy, tolerujących kłusownictwo i nieprawidłowe polowanie, wymierzać kary. A byłby też jeszcze jeden skuteczny środek, mianowicie strzelcom leśnym rządowym odbierać fuzye, a dla powagi ich i bezpieczeństwa dać im rewolwery i kordelasy. Z praktyki wiemy, że chociaż większa połowa strzelców rządowych z fuzyą obchodzić się nie umie, to przecież druga ich połowa strzela dzielnie i zaliczoną być może do najdrapieżniejszych kłusowników. Taki strzelec zna każdy przesmyk, widzi każdy trop, ma fuzyę, chętka go więc bierze sprzątnąć zwierzę, a potem sprzedać. Pensya nader szczupła, pieniądz potrzebny. Zamiast pilnować lasu, taki strzelec większą część dnia trawi na polowaniu bądź w lesie, bądź na polu, ze szkodą służby, bo przebiegli defraudanci korzystają z jego nieobecności w lesie. Rewolwer i kordelas dostateczne do ochrony od napaści defraudantów, a bez

fuzyi nie byłoby pokusy do polowania. Na rządowe obławy i polowania fuzye wydawaćby mógł urząd leśny lub podleśniczy.

Co do punktu 6. Położenie naszej gubernii wyjątkowe. Dóbr dziedzicznych u nas bardzo mało, większa część dóbr była niegdyś własnością rządową, ale teraz przeszła na majoraty. Sam donataryusz w dobrach nie mieszka, więc stan zwierzyny go nie interesuje. Połowa dóbr prywatnych w Sejneńskiem, oraz wiele dóbr w innych powiatach przeszły w ręce żydowskie, a żaden żyd myśliwstwem się nie trudni, bo zwierz nie zarznięty jest trefny, a przytem polowanie nie przynosi procentów. U nas folwarki nader rzadkie. Można przejechać dwie mile, a lasami i sześć mil, a nie spotkać folwarku, same wsie osiedlone włościanami. Tym zaś przez głowę nie przejdzie myśl o pielęgnowaniu zwierzyny. Podług nich: nie było nas, był las i zwierzyna, nie będzie nas, będzie las i zwierzyna. Z zamożniejszych obywateli żaden, o ile wiem, nie jest myśliwym, drobni zaś przygnębieni kłopatami, nie mają czasu i ochoty do polowania. Towarzystw myśliwskich, ukonstytuowanych prawnie, a nawet prywatnie, wcale nie ma. Aby ktoś zaprenumerował „Łowca“ lub kupił podręcznik o myśliwstwie, nie słychać. Rzadko też kto ma wyżła dobrej rasy, a tem mniej ogary, o rasę nie troszczą się. Skutkiem tego wszystkiego zwierzyna ubywa, a jak temu zaradzić, wykazałem wyżej, lubo pobieżnie. Pojedyncze usiłowania nic tu nie pomogą, tylko zawiązanie Towarzystw myśliwskich za wiedzą władz rządowych, oraz ścisła kontrola ze strony tychże władz nad wykonaniem istniejących przepisów, mogłyby skutecznie przyczynić się do powiększenia zwierzostanu.

Teraz wypada jeszcze wskazać rodzaje czyli sposoby polowania u nas używane. Prawidłowi myśliwi, zwłaszcza z miast, polują zwykle z wyżłem. Przed 40 lub 30 laty były w modzie albo psy polskiej rasy z szerokiemi mordami, obwisłemi wargami, długiemi uszami, lub też cwajnosy, albo kosmate kurlandzkie. Potem te rasy wyginęły, a zastąpiły je pointery i settery, Ale niemal wszyscy myśliwi stracili ochotę do setterów, bo to psy nieposłuszne, gorące, daleko chodzą, nie dotrzymują i nie aportują. Dziś najwięcej w użyciu gładkie pointery lub mięszańce obu ras. Nie wiem, czy który z myśliwych przywiązuje wagę do maści wyżła. Ja daję pierwszeństwo kasztanowatym, gładkim. Miałem już trzy psy kasztanowate i dziś mam taką sukę, a wszystkie były wyborne. Szczególniej między rokiem 1850 i 1858 odznaczył się pies Erwu (od liter mego imienia i nazwiska), kasztanowaty, gładki, cwajnos, z podwójnemi, t. j. czterma ostrogami, po pstrym cwajnosie i kasztanowatej gładkiej suce. Dobry pies wart wspomnienia. — Ogary zwą się u nas powszechnie gończymi, trzymane są tylko u kilku obywateli i to zaledwie po dwie lub trzy sztuki. Mówiąc o ogarach, mogę zawołać: *et ego in Arcadia fui*, co po polsku tak tłumaczę: i ja byłem na polowaniu, gdzie grało piętnaście ogarów.

(Dokończenie nastąpi.)

KORESPONDENCYE.

Browki, 23. Grudnia.

Lis na drzewie. Było to 15. Listopada 1882 w gubernii Kijowskiej, powiecie Skwirskim, na gruntach wsi Chorlejówki. Dzień przedtem barometr wskazywał śnieg, ponowę, notabene pierwszą w tym roku. Przeczuwając dobre pole, zerwałem się rano i wedle zwyczaju wołam: „Wasylu, a co tam na dworze?“ — „Ponowa, panie!“ — Ja do okna — śnieg; wychodzę, powietrze łagodne, mrozu ledwie parę stopni, ponowa, ale nie tęga. Hałas i Piskla ogonami kręcą, a skomleniem i szczekaniem zdają się ciągnąć w pole. Nadchodzi sąsiad mój, p. Leon Obuch Weszczetyński, od dwóch lat dopiero w cechu łowieckim terminujący, i radzi, żeby psy i służbę zabrać i jechać wprost do Browek, gdzie mieszka szwagier mój Antoni Rylski, kunktator w kniei, pedant w swoim arsenale, bo gdy własną ręką ładunku nie zrobi, to go do strzelby nie włoży, myśliwy całą duszą, ale nie ciałem, bo chociaż na mróz i spiekę wytrwały, znieść nie może wszystkiego co z wierzchu pada, choćby to był nawet złoty deszcz jowiszowy. No, kiedy jechać, to jechać, a żwawo, żeby gospodarza zastać w domu, a myśliwskim jego taborem wzmocniwszy nasze siły, doprowadzić do skutku projekt ułożony. Pięć wiorst drogi przebyliśmy prędko. Na wstępie Feliks nam mówi: „Pan mój już od świtu w okna zagląda, przeczuwał widać, że panowie przyjadą.“ — „A gdzież pan? czy w swoim kabinecie?“ — „A tak, proszę pana, kawę wypił i śniadanie już gotowe.“ — „Zatrąbmyż mu pojezdnego.“ — Ledwiem trąbkę do ust podniósł, drzwi się otwierają i wita nas gospodarz w zupełnym rynsztunku myśliwskim. „Brzydki sen miałem — rzecze — strzelać będziemy, ale z niczem wrócimy do domu.“ — Tratata, sen mara, każ dawać śniadanie.“ — Załatwiwszy z apetytem tę mitręgę, czasu nie tracąc, ruszamy do kniei. Droga fatalna, ani wozem, ani saniami, a my jakby dla wypróbowania, czem gorzej, wybraliśmy się kołami i sanno. Nareszcie stanęliśmy u celu. Kazałem psy puścić; kniejka, w której nic innego prócz szaraka być nie może, jakoż nie zdołaliśmy jeszcze zająć stanowisk, a już psy ruszyły zająca, który pędzi wprost na mnie na kroków czterdzieści, przypadł za krzak, przez który strzelać nie mogłem, potem rzuca się w bok i przechodzi do innej kniei, psy za nim, my za psami, nakoniec głosy umilkły gdzieś w oddaleniu. Idziemy dalej, nasłuchujemy, aż wreszcie dochodzi nas niby gon psów, ruszamy dalej, gon coraz wyraźniejszy i już miarkujemy, że psy gonią w miejscu porosłem oczeretem i leszczyną, zwanem rudą Chorlejewiecką. Dojeżdżamy tam, zajmujemy stanowiska, a psy już wyparowały lisa z rudy do lasu. Następuje zmiana frontu bojowego, ale lis znowu wrócił do rudy i nikt z nas z nim się nie spotkał, aż za trzecią czy czwartą zmianą stanowisk lis przebiega na kroków przeszło 80 koło Rylskiego. Ten licząc na swoją Lebedówkę, nie zważa na metę i pali, lis powlókł się, co było widoczne na śniegu, i znikł w zaroślach nie farbując. Niebawem psy wyszły, obwietrzyły miejsce, gdzie padł strzał, i hajże za lisem. Zmięszany strzelec takim wypadkiem, a pewny swego strzału (któż z nas swego strzału nie pewny?), wysłuchuje, gdzie psy gonią i czy nie utną. W istocie ucięły. Myśląc, że psy zmyliły trop, czeka, czy nie poprawią, nie doczekawszy się i będąc pewnym, że lisa już rozciągnęły, a jakoś żadnego z dojeżdżaczy pod ręką nie było, puszcza się w głąb kniei, kierując się trochę tropami, bo ponowa była nie tęga i z powodu

tylokrotnego obracania lisem nie można było rozróżnić śladów, więcej zaś dyrekcyą głosu psów. Uszedłszy kroków z półtorasta od miejsca, gdzie strzelał, spotyka gończego, robi jeszcze z 50 kroków, widzi wracającą sukę z młodymi gończakami, rozgląda się wszędzie, czy nie ujrzy rozciągniętego lisa, wtem wpada mu w oko stary jasion, na przeszło cztery metry od ziemi rozdwojony, jeden konar rozrósł się w koronę, drugi złamany w wysokości około ośmiu metrów od ziemi i od dołu do góry dziupłowaty. Koło niego uwijał się pies gończy, więc zwrócił się ku niemu, a obchodząc drzewo dokoła, spostrzegł w pniu na przeszło metr od ziemi dziupło formy owalnej (długości 43, szerokości 23 cm.), zagląda do wnętrza, nic w niem nie widzi, bierze tykę, sonduje, nie głębokie, bo razem z pniem kończy się przy ziemi. Odchodząc od jasiona, słyszy za sobą skomlenie psa, obraca się i widzi, jak jeden pies gończy z łbem w górę wzniesionym wietrzy, a drugi drapie się na drzewo. Wiewiórka, a może kuna! — myśli sobie Rylski, powraca, aby się o tem przekonać. Nie małe było jego zdziwienie, gdy na złamanym konarze spostrzega łeb lisi z pyskiem opartym na przednich łapach, a cały schowany we wnętrzu jasiona. Nie wiedział, co robić. Strzelać, pudło niechybne, zaczekać, aż cały lis się ukaże, niepewne, czy będzie dla niego tak uprzejmym. Wreszcze strzela, a lis znika w kryjówce, poczem woła na nas, trzymając strzelbę w pogotowiu. My tymczasem, nie słysząc nawoływania, podążaliśmy w stronę, gdzie psy lisa pogoniły i ucięły. Po drodze spotykamy dojeżdżacza Rylskiego, Janka, a on nam mówi, że słyszał głos swego pana; jakoż w istocie usłyszeliśmy wołania i sądzimy, że się zabłąkał. Zatrąbiłem, dążymy ku niemu i wnet widzimy Rylskiego z lufami skierowanemi ku dziuple. Gdy nas spostrzegł, woła: „Chodźcie prędzej!“ — „A co tam?“ — „Lis szelma!“ — „Gdzie? na drzewie?“ — „A tak, na drzewie, już dawno trzymam go w oblężeniu.“ — Zaglądamy do dziupła, nic nie widać, a więc musi być w górze. Pień gruby i gładki, wdrapać się niepodobna, ale koło niego rośnie leszczyna, więc Janek wdrapał się aż do wideł, ale dalej nie może. Andrij wyłamał tykę, ale tymczasem lis osłabiony zsunął się na dno dziupła, bo jak się pokazało trafiony był trzema śrutami w łapę, w nos i koło ucha. Nie łatwo go wydobyć, żywy może ugryżć. Gdy tak zajęci jesteśmy lisem, psy wprost na nas pędzą zająca, zwracamy się więc, strzelamy i znowu gromadzimy się u drzewa. Wreszcie wydobyliśmy tyczką żywego lisa z dziupła i dobili. Nasuwa się pytanie, dlaczego lis szukał schronienia na drzewie, kiedy o sto kroków miał oczeret gęsty, gdzie mu łatwiej było umknąć przed pogonią? Na to nie umiem odpowiedzieć — ale tak było i ten fakt dokonany a wiarygodny stwierdzam własnoręcznym podpisem.

Antoni Zapolski.

Lwów, w Marcu.

Patent o polowaniu z r. 1786 nadaje w §. 17. właścicielom polowania lub ich strzelcom prawo strzelania psów, goniących po lasach i polach, czyni jednak wyjątek, polecając ochronę psów owczarskich. Orzeka dalej w §. 18., że kto się pokaże w cudzym okręgu łowieckim z psami, a nie przechodzi przez ten okręg drogą lub ścieżką, ma być przytrzymany i karany. Specyalnego postępowania karnego, na wzór obcego ustawodawstwa, nie ma w naszej ustawie łowieckiej. Zbiór rozporządzeń i ustaw łowieckich, wydany we Lwowie r. 1875, zawiera w dodatku instrukcyę dla zaprzysiężonej straży leśnej, nieznaną w naszej ustawie łowieckiej, gdzie w ustępie 13. „ochrona polowania“ powiedziano, że przestępcom myśliwskim ma być w każdym razie broń odebrana, psy goniące bez wyjątku strzelane, a nadto upoważnia ów ustęp straż do strzelania kotów, spotykanych opodal domostw, o czem niestety w żadnej naszej ustawie nie ma wzmianki, ale nadto §. 1321. ust. cyw. zastrzega odszkodowanie za zabicie kota. Przy zamierzonej reformie naszych ustaw łowieckich zasługuje przedewszystkiem to prawo strzelania psów na bliższe zastanowienie. Wiek cały upływa od czasu sankcyi tak brutalnego prawa strzelania psów wobec dzisiejszych pojęć. Zaoczne sądy mandatorskie, kary cielesne, wymuszanie zeznań przy pomocy hajduków i kaprali w ustawie karnej równie jak w prawie wojskowem, uległy już nowym prądom humanitarnym. Dawne prawo polskie nie zna tej surowości doraźnej, a zwyczajowa tradycya nasza mówi: pies granicy nie zna. Przy całej ostrożności nie można uniknąć nieporozumień w sprawie granicznej, a według naszych ustaw może być pies w oczach właściciela zabity, lub co gorsza pokaleczony śmiertelnie, jeśli tylko cudzą miedzę przekroczy, bo nie ma w tej mierze żadnych zastrzeżeń. Trzeba być myśliwym, aby uczuć taką, często niezasłużoną stratę, a z licznych, tragicznych nawet wypadków, ztąd wynikłych, dosyć przytoczyć smutny zgon czcigodnej pamięci ks. Lobkowica, byłego gubernatora Galicyi. Szanowny starzec mieszkając w Wiedniu, robił niedalekie wycieczki myśliwskie z wyżłem, którego mu syn leśniczego na mocy wspomnionego patentu zastrzelił w jego oczach. Zawrzała krew w żyłach starca, nieprzytomny prawie z oburzenia strzelił i położył trupem zbyt gorliwego młodzieńca. Dwa strzały przywołały leśniczego, który widząc martwego syna, a obok niego wzburzonego starca, bez namysłu strzałem wymierzonym ku niemu pomścił śmierć syna. Czyż się tu nie sprawdziła przypowieść: *Summum jus, summa injuria.* Pruskie prawo cywilne (Allg. Landrecht) i francuska ustawa łowiecka zastrzegają ochronę psów myśliwskich. Przydybane w cudzym okręgu każe prawo pruskie łapać i za wynagrodzeniem właścicielowi zwrócić, a dozwala strzelać psy tylko włóczące się bez klocków po cudzych okręgach łowieckich, mianowicie psy gospodarskie (gemeine Hunde), wreszcie orzeka, iż wolno psy strzelać, uganiające bez nadzoru (ohne ihren Herrn), bez klocków. Pruska ustawa łowiecka dozwala zresztą używać psów zwyczajnych do odstraszania grubszej zwierzyny, sarn, jeleni, dzików od płodów polnych. Nasze zaś ustawy są w tej mierze bezwzględne, a prawo strzelania psów przez podrzędną służbę, najczęściej skrycie wykonywane (prawo pruskie zastrzega jawność i zwrot kosztu naboju od właściciela psa zastrzelonego), daje powód do nadużyć i do wzburzeń namiętnych, pobudza do odwetu za pomocą trutek, sideł i t. d., i zamiast ochrony, może stać się przyczyną wytępienia najpiękniejszego zwierzostanu. I tak lizawki polane odwarem blekotu, mogą wygubić sarny, tak jak wytruto niedawno całą stadninę na pastwisku arszenikiem, o czem z znanego procesu mieliśmy wiadomość. Ustawa francuska nie przyznaje nikomu prawa strzelania psów, stanowi tylko znaczne grzywny, a w następstwie utratę prawa noszenia broni. Wymienia ona wprawdzie wypadki, w których kara pieniężna ma być podwojona, ale też zastrzega, że gon psów na obcym gruncie za zwierzem, ruszonem na własnym, nie powinien być uważany jako przestępstwo łowieckie. Ustawa francuska ograniczając wydawanie kart legitymacyjnych na broń myśliwską dla małoletnich i t. p., rozszerza to ograniczenie również na straż łowiecką obszarów gminnych i funduszowych, którym odmawia prawa noszenia broni jakoteż prawa odbierania takowej przestępcom kłusowniczym, a poleca zamaskowanych, nieznanych z nazwiska i miejsca zamieszka-

nia, lub wzbraniających się okazania legitymacyi, prowadzić do władzy w celu skonstatowania ich osobistości. Kondemnata pociąga za sobą oprócz grzywny także utratę prawa noszenia broni. Ileż to bójek niepotrzebnych, ile gorszych nawet następstw uniknęłoby się, ile zbawiennych skutków dla wytępienia kłusownictwa uzyskałoby się, gdyby niższej straży łowieckiej odjęto te rzekomo potrzebne środki obrony wobec napaści i gwałtu, którymi najczęściej ona sama gwałci ustawę łowiecką. Ustawa pruska wymaga przedewszystkiem, aby straż łowiecka była uniformowaną, przynajmniej w odzieży wierzchniej, uważając, iż same odznaki na czapce lub ramieniu nie wystarczają, przyznaje jej prawo odbierania broni przestępcom, ale prawo strzelania do przestępców, stawiających opór, jest w niej ograniczone, czego nasza ustawa nie czyni. Godnem uwagi jest też postanowienie ustawy francuskiej, wkładające odpowiedzialność za przestępstwa łowieckie, popełnione przez małoletnich (bez względu na współudział wedle ustawy pruskiej), na głowę rodziny lub opiekuna, również na gospodarza za swych domowników.

Tyle co do psów i straży. Co do kotów inaczej się rzecz ma. Jest to tak niebezpieczny rabuś w dzień i w nocy, często dziczejący zupełnie, a zawsze polujący na własną rękę, że na wzór ustawy pruskiej należy w drodze ustawodawczej obmyślić środki bezwzględnego tępienia, gdy on po za domem włóczy się po lasach i polach w celu szukania zdobyczy.

Co do chartów, odpowiednimby był może znaczny podatek, nałożony na nie, jak to się dzieje w Rossyi, lub specyalne pozwolenie na trzymanie ich, przyjęte we Francyi.

Zresztą możeby było pożądane ograniczenie polowania wiosennego na kaczki do 1. Kwietnia, również ograniczenie polowania wiosennego na jarząbki, jako zwierzyny stałej, nie przelotnej, a tak trudnej do rozmnożenia Czy wreszcie nie należałoby na wzór francuski ograniczyć polowanie w czasie nawalnych śniegów, przynajmniej na kuropatwę?

L. Weeber.

Czytamy często w piśmie waszem o tysiącach zabitych zajęcy w Poznańskiem, o setkach w Galicyi — my niestety, gdy dziesiątek kotów, a parę lisów upolujemy, jesteśmy najzupełniej zadowoleni i mówimy, że się nam polowanie udało. Prawda, że w Marcu, Kwietniu i Maju można spotkać włościan kłusowników, sprzedających zwierzynę, sam pan mirowy a nawet urzędnicy polityczni kupują takową w porze każdej, a jeżeli ktoś ma czoło ozdobione gwiazdką, poluje wszędzie i zawsze. Mieszkający w miasteczkach wojskowi nietylko sami tłuką, co znajdą w sąsiedztwie, ale i żołnierzów swoich wysyłają. Są jednak jeszcze miejscowości w większych posiadłościach, gdzie w obszernych lasach i grubsza zwierzyna się znajduje. Do takich uprzywilejowanych miejsc należą lasy pp. Aleksandra i Henryka Skirmuntów, gdzie łowiectwo porządnie prowadzone, dozwoliło zwierzynie się rozmnożyć, gdzie z pewnością z łosiem spotkać się można, a liczą je na setki; to też prawie co roku zjeżdżają się ze stron dalekich myśliwi dla zobaczenia i strzelania tego książęcia puszcz litewskich. Wezwany uprzejmie przez p. Aleksandra Skirmunta na 7. Lutego, w przeddzień udałem się na stacyę kolei żelaznej, zkąd po godzinnej jeździe zdążyłem do Żabinki, pierwszej stacyi nowej kolei Żabinko-Pińskiej. Tu znalazłem już udających się w tęż samą drogę do Porzecza myśliwych, znajomych mi po większej części pp. Henryka Sieńkiewicza, Dra. Stan., księcia Włod. Cze., księcia Lu., Jar. i Le. Aud., Kom., br. Dan., Dę. i ścisk w małym dworcu nie do opisania. Bilety trzeba było szturmem zdobywać. Popychany przez żydów, słowaków z tobołkami na plecach, żołnierzy, ujrzałem wreszcie w okienku kasy oblicze p. kasyera i udało mi się kupić bilet, ale czekała mię jeszcze nowa trudność: jeden jest tylko wagon 1. i 2. klasy, ulokować się nie było rzeczą pojedyńczą (mówiąc po galicyjsku), ale od czegoż cierpliwość? Dzwonią, świszczą, lokują choćby na poręczy siedzenia, czas przechodzi na pogadance prędko, lubo pociąg powoli idzie, bardzo powoli, zatrzymując się po 20 i 25 minut na każdej stacyi. Dość długi przestanek na stacyi w Kobryniu okazuje się za krótkim, wysiadamy tu wszyscy dla posiłku; nim nam podano, nimeśmy zjedli, dzwonią, pociąg ruszać się zwolna zaczyna, wszyscy wybiegają, płacąc w pospiechu rublami, gdzie dosyć było złotówki, czem bufetowe dziewczęta zdają się być bardzo zmartwione. Dworzec dość obszerny, ale zbudowany z drzewa surowego i nie wykończony, wygląda jak baraka; mijamy takiż dworzec w Horodcu, Nahoriju, Śnitorni, dostajemy się do Juchnowiec, gdzie czeka na nas 8 sań z Porzecza po 4 i 2 konie. Po paru godzinach szybkiej jazdy lasami, ukazują się nam mury zabudowań fabryk Porzeckich, błyszczą okna domu gościnnego p. Aleksandra Skirmunta. Znajdujemy tu już gości ze stron dalekich, hr. Ar. Po. i hr. Ad. Si. Po obiedzie, herbacie i wypoczynku nazajutrz o 9tej towarzystwo ruszać się zaczyna, po kawie i herbacie o 10. zachodzą sanie, ruszamy do lasu. Zaledwie pięciowiorstowa odległość dzieli nas od pierwszego miotu, zatrzymujemy się koło leśniczówki, gdzie spotyka nas p. Radecki, leśniczy, czeka setka huczków i para swor psów. Trochę saniami, trochę pieszo, stajemy na stanowiskach. Dzień pogodny przy małym przymrozku sprzyja polowaniu. Następuje chwila oczekiwania, psy się odezwały, gonią, padają pierwsze strzały, dalej kanonada, strzelono razy 18. Obok mnie p. L. Pus. celnym strzałem kładzie łoszuka na miejscu, obława wychodzi i strzelcy się zbierają. Padło razem łosi 5; p. Jar. Aud. zabił starego łosia, ks. Wł. Czet., hr. Pot. i hr. Si. po jednej łoszy. Idziemy do ognisk, gdzie nas czeka starka, bigos i inne przekąski. Po godzinnym wypoczynkn zajmujemy miot drugi, po krótkiem oczekiwaniu padają strzały, naliczyłem ich 14; p. Henr. Sienk., ktory równie dobrze włada bronią jak piórem, Dr. Stan. położyli po 1 łoszy, tu pada sztuk 3. Wracamy do domu; 8 łosiów zabito w tym dniu. Szkoda, że w tej porze łoszy od łosia odróżnić niepodobna i bije się co na placu. Odróżniają tu dwie odmiany łosi, czarne i bure; między zabitymi są jedne i drugie. Sądziłbym wszakże, że różnicę stanowi wiek, gdyż obie odmiany razem się spotykają. Łosza, która jest od łosia większą, dorównywa wysokością powozowemu koniowi, tylko krótsza. Po doskonałym obiedzie, przy którym podają tylko wina włoskie i krymskie, między któremi szczególnego smaku muskat, następuje gawędka, wspomnienia myśliwskie świeże i dawniejsze, wieczór przechodzi jak jedna chwila. Nazajutrz wybieramy się na dziki, a hr. Ar. Po. i Sier., każdy na małych saneczkach, jadą z leśnikiem na objazd łosi. Zajmujemy miot pierwszy, obława rusza, następują długa cisza i oczekiwanie, psy odzywają się w dali, słychać parę strzałów daleko, potem bliższych, wszystko ucicha i schodzimy ze stanowisk. Na Dra. Stan. wyszła łosza, którą położył, księciu Lub. stanęło na 200 kroków stadko dzików, ale strzał był za daleki i po nim dziki poszły na obławę skrzydłem, tylko leśnik zabił warchlaka. Schodzimy się na śniadanie, po którem zajmujemy miot drugi na łosie. Pada znowu kilka strzałów, ks. Wł. Cz. zabił łoszę. Wracając spotykamy pp. Ar. Po. i Sier., pierwszy widział kilkanaście sztuk, z tych zabił łosia starego i łoszuka, hr. Sier. ogromną czarną

łoszę. W ogóle padło 12 łosi i 1 dzik. Po powrocie oglądamy nową, doskonale urządzoną gorzelnię, słynną Porzecką fabrykę sukna. Wieczór schodzi nam szybko. Nazajutrz towarzystwo rozjeżdża się, każdy w swoją stronę, zachowując wdzięczne wspomnienie pysznego polowania, uprzejmego przyjęcia i serdecznej gościnności gospodarstwa.

L. K.

Stara wieś (gub. Siedlecka), 10. Marca.

Zostawszy prenumeratorem „Łowca“ w roku bieżącym, uważam za właściwe przesłać następujący rzadki fakt myśliwski, prosząc sz. Redakcyę o umieszczenie jego w szpaltach swego pisma. Dnia 15. Lutego b. r. wybrałem się w godzinach popołudniowych ze strzelcem saneczkami jednokonnemi do lasów moich, aby zapolować objazdką na rogacza. Ledwieśmy do lasu wjechali, spostrzegamy gromadkę stojących sarn, liczącą pięć sztuk, która po naszem zbliżeniu się odbiegła dosyć daleko. Kilkakrotnie powtarzana próba objeżdżania jej na strzał nie przyniosła żadnego rezultatu, sarny bowiem wciąż się wymykały, już to dlatego, że w dniu tym śnieg był zmarznięty i chrupał pod nogami konia, a może i z tego powodu, że się już miało ku wieczorowi, a wtedy zwierzyna jest zwykle czujniejszą. Widząc, że tym sposobem nie osiągnę zamierzonego celu, postanowiłem zajechać im z dala drogę i stanąć za drzewem na zasadzce w kierunku ich pochodu. Tak też uczyniłem, strzelcowi zaś poleciłem powrócić sankami na miejsce, gdziem zostawił sarny, i kazałem je z całą ostrożnością ku mnie naganiać. Plan udał się wybornie; nie upłynęło 10 minut, a wszystkie pięć sztuk wyszły sznurkiem na mnie. Pierwsze dwie sztuki, jako rogacze, powaliłem dwoma strzałami ze sztućca, reszta przerażona odskoczyła na kilkadziesiąt kroków w bok, a następnie ochłonąwszy, stanęła jak wryta, oglądając się i szukając widocznie swoich towarzyszów. Ten krótki przeciąg czasu dał mi możność przekonania się, że pozostałe trzy sztuki sarn były także rogacze z wyniosłymi rogami, gdyż, jak wiadomo, w połowie Lutego kozioł dostaje już pokaźne rogi. Zdarzenie to nader rzadkie i pierwszy raz wydarzyło mi się widzieć w pięciu sztukach sarn same rogacze. Drugi fakt, niemniej rzadki w naszej okolicy, jest pojawienie się głuszców. Na ostatnich u mnie polowaniach strzelec mój zabił ogromną głuszycę i zaręczał mi, że w tymże samym miocie widział ich więcej. Ptaki te kazałem odtąd pilnie strzedz, a że tu dużo lasów, więc może ten świeżo przybyły gość upodoba sobie naszą okolicę i pozostanie w tej kniei. — Pragnę jeszcze w kilku słowach pomówić o naszych stosunkach łowieckich. W Podlaskiem, jak w ogóle w większej części Królestwa Polskiego, zwierzostan znajduje się istotnie w opłakanym stanie. Przyczyną tego są dwie trapiące nas plagi, a temi są kłusownictwo, bardzo wysoko rozwinięte, i służebności pastwiskowe. Dodać należy, iż nikt nie przestrzega naszej ustawy myśliwskiej. Łatwo tedy dojdziemy do przekonania, dla jakich to powodów knieje nasze i pola stały się pustemi. Kłusownik czatujący wciąż na zasiadce, chłop sidłami i wnykami tępiący podczas śniegów kuropatwy i zające, myśliwy-amator włóczący się po całych dniach po kniei, podali sobie formalnie ręce, aby wyniszczyć do szczętu zwierzynę. Wadą wielką w naszej ustawie myśliwskiej są przepisy tyczące się ogarów, które są lżej opodatkowane od chartów, a stokroć szkodliwszymi od nich. Również wielkim jest błędem zaliczenie ogarów do psów rasowych, do których, jak wiadomo, strzelać nie wolno, choćby włóczyły się po lasach i polach. Stawia się więc w niemożności dbającego o konserwacyę zwierzyny przeszkodzić panu amatorowi polować bezkarnie na cudzą zwierzynę, gdyż psów niepodobna złapać w lesie, a panu amatorowi nic zrobić nie można, bo stoi na granicy swojej. U siebie miałem kilka takich wypadków, iż wójt z pisarzem gminnym, a innym razem pan sędzia pokoju Z. stawali na swoich gruntach, przylegających do mego lasu, zapuszczali psy i z całem bezpieczeństwem strzelali do mojej zwierzyny. Pomijam już mnóstwo wypadków tego rodzaju, aby dojść do konkluzyi, że pomimo tych niesłychanych trudności i zaiste ciężkich warunków, większy właściciel, gdy jest myśliwym i dba o konserwacyę zwierza, dojdzie i tu stosunkowo do ładnego polowania. Trzeba przedewszystkiem wynająć polowania na wszystkich włościańskich gruntach, straż mieć czujną, we właściwym czasie polować, kóz nie strzelać, drapieżne zwierzęta tępić, w zimie zwierzynę trochę karmić i z sąsiadem swoim się porozumieć, by tak samo, o ile możności, postępował, gdyż zwierzyna potrzebuje większego promienia, żeby się swobodnie rozmnażała, a niezawodnie starania nasze uwieńczone będą pożądanym skutkiem. Przykład najlepszy w tem, że od czasu, jak z moim sąsiadem, panem Ignacym Popielem, przestrzegamy porządku w lasach i polach, mamy zwierza dosyć. Mnóstwo innych miejscowości zacytować mogę, gdzie przestrzegając przepisów łowieckich, otrzymano rezultaty świetne, jak np. u hr. Artura Potockiego w dobrach Staszowskich, u hr. Augusta Potockiego w Jabłonnie i Nieporęcie, u mego brata w Radziejowicach, u p. Zdzisława Jasieńskiego w Osuchowie (gub. Warszawska), u p. Jana Zawiszy w Młochowie pod Warszawą. Wszędzie tam się starali, to też sowicie zostali wynagrodzeni. *Vouloir c'est pouvoir*, mówi francuskie przysłowie, a nigdy ono nie daje się lepiej sprawdzić, jak w tym wypadku. Nie mając w naszym kraju organu łowieckiego, a wiedząc, że wasze pismo ma wielu prenumeratorów w Królestwie, podnoszę za jego pośrednictwem głos w imieniu ochrony zwierzyny. Może niejeden z czytających zwrócić zechce baczniejszą uwagę na kwestyę tak po macoszemu u nas traktowaną. Na tem kończę moją korespondencyę, pozostaję i pozostać pragnę wiernym waszym prenumeratorem.

Kazimierz hr. Krasiński.

Wiedeń, Luty.

U was Galicyi, o ile z gazet sądzić mogę, dobra zima, śnieg grubą warstwą pokrywa zapewne pola. Polujecie, mnie też natura myśliwska ciągnie do strzelby, niestety okoliczności wstrzymują, muszę siedzieć w Wiedniu i czytając „Łowca“, zazdrościć rozkoszy łowieckiej. Nie mogąc w inny sposób służyć sz. Redakcyi i naszemu „Łowcowi“, postanowiłem układać kronikę myśliwską z czasopism i przesyłać ją sz. Redakcyi. Często są w nich rzeczy godne uwagi choćby z powodu oryginalności pomysłu. Na wstępie mego listu konstatuję ciężkie czasy dla zwierząt łownych. Dotąd przynajmniej noc je chroniła od prześladowania, obecnie i to bezpieczeństwo odbierają im — elektryczność i latarnie. Mamy już wiele zastosowania elektryczności w różnych kierunkach, a jeszcze więcej projektów, księgi całe możnaby o tem spisać. Dlaczegoż więc nie możnaby jej użyć w myśliwstwie? Jeżeli wierzyć mamy czasopismu „Wochenblatt für Land- und Forstwirthschaft“, zużytkował pewien Anglik elektryczność w taki sposób. Znaną jest rzeczą, że ptaki w nocy nagle ze snu rozbudzone, dążą w stronę światła; otóż Anglik ów kazał wynieść na pole przyrząd elektryczny, a lampę samą umieścił na wysokiej tyczce, następnie polecił gońcom spędzać zewsząd zwierzynę. Rozbudzone ze snu zwierzęta dążyły ku lampie i w taki dziwny sposób według podania tego pisma padło: 464 jarząbków, 11 małych bekasów, 143 kuropatw, mnóstwo różnych mniejszych ptaków,

kilka sarn i zajęcy. Do powiastki tej, powtarzanej w kilku gazetach niemieckich, należy naturalnie dołączyć wielki znak zapytania. Drugim środkiem groźnym dla bezpieczeństwa zwierzyny jest światło magnezyowe z naftą. Czytelnik nieraz zapewne spotykał się w gazetach niemieckich ze sposobami, niestety i u nas już używanymi, jakimi Niemcy, osobliwie wiedeńscy mojżeszowego wyznania, zachwalają swój towar, najczęściej lichego gatunku. „Noch nie dagewèsen“, „Überraschend billig“, „Wunder der Welt“, „Wohin eilen Sie?“ i t. p. anonse obiegają świat i ściągają łatwowiernych. Otóż taki anons wpadł mi przed kilku dniami w rękę. Zwykle je lekceważę, lecz gdy pod szumnym tytułem spostrzegłem strzelca, składającego się do dwóch dzików, i w ciemnym obrazie to tylko było oświecone, odczytałem ów anons. — Otóż jakiś Niemiec poleca swoje patentowane latarnie do użytku myśliwskiego w następny sposób. W nocy, na zasiadce, wyczekuje umieszczony w dogodnem miejscu łowiec pojawienia się dzików. Nic go śród ciszy nie zdradza. Jawią się wreszcie dziki w odległości strzałowej, myśliwy zwolna podnosi strzelbę, składa się, i nagle oświecony światłem latarki strzela do dzika i ubija go na miejscu. Zkądże to nagłe światło? Trzy ściany latarki są blaszane, czwarta szklana, osłonięta drzwiczkami blaszanemi. Umocowana ona na lewem ramieniu; drzwiczki osłaniające szkło, pociągnięte umieszczonym pod prawą ręką sznureczkiem, otwierają się nagle i oświetlają całą przestrzeń tak, iż swobodnie zmierzyć się i zwierzę na cel wziąć można.

Dla miłośników łowienia raków podaję opowiadany mi sposób, używany przez chłopów. rybaków niemieckich, mający dawać w praktyce bardzo dobre rezultaty. Polega na tem, że się składa wolno w wiązki chrust z jakiegokolwiek gatunku drzewa, byle był gałęzisty. W środek wiązki wkłada się kawał cuchnącego mięsa i uwiązawszy ją na sznurku, spuszcza na dno rzeki. Po pewnym przeciągu czasu wyciąga się i zbiera raki, które poczuwszy mięso, powłaziły w środek wiązki. Nadaje się ten sposób szczególnie w rzeczkach błotnistych, nieprzezroczystych.

Według zasad nowoczesnego leśnictwa nie powinna się czarna zwierzyna wcale w lesie znajdować, tylko w zwierzyńcach, gdzie wszakże w skutek mnożenia się w jednej rodzinie następuje degeneracya. By temu zapobiedz, próbowano krzyżować dziki z swojskiemi i używano rozpłodników z ras lepszych. Najodpowiedniejszą okazała się rasa Berkshiee. Żelazny książę posiada w swych dobrach zwierzyniec czarnej zwierzyny obszaru 1600 morgów i u niego to przedsiębrano próby krzyżowania rasy dzikiej z Berkshiee z najlepszym skutkiem. Użyto rocznej samicy Berkshiee, którą wpuszczono do parku. Rzuciła ona dotąd 12 prosiąt, z których 3 sztuki ośmnastomiesięczne ubite ważyły po 180 funtów. Samica do parku wpuszczona nie różniła się prawie od dzikich ani barwą szczeci, ani budową ciała.

Od 1. Stycznia b. r. wychodzi w Wiedniu tygodnik pod tytułem: „Oesterreichische Forstzeitung“. Pierwsza to próba wydawania czaspisma tego kroju, dotychczas bowiem pojawiały się tylko miesięczniki. Redakcyę objął profesor uprawy lasów w akademii rolniczo-leśnej w Wiedniu G. Hempel, były redaktor czasopisma: „Centralblatt für das gesammte Forstwesen“, które obecnie przeszło pod redakcyę profesora tejże akademii, br. dr. Seckendorfa. „Oest. Forstzeitung“ zajmuje się nietylko leśnictwem, ale też myśliwstwem i rybołowstwem; są tam nader cenne artykuły w tych działach, jakoteż piękne illustracye. Prenumerata wynosi kwartalnie 2 złr.

C. Kochanowski.

KRONIKA.

Wpisali się w poczet członków Towarzystwa łowieckiego:

Brunicki Władysław br.
Brunicki Zdzisław br.
Lewandowski Roman.
Pieńczykowski Stanisław.
Witosławski Wincenty.
Wojnarowski E.
Zarzycki Tytus Artur.

Delegacyę przyjęli:

Jaworów — Borowski Skarbek Józef.
Przemyślany — Treter Hilary.
Sącz — Stadnicki Edward Adam hr.
Śniatyn-Kossów — Hirsch Piotr.
Stryj-Drohobycz — Brunicki Józef br.
Złoczów — Wodzicki Kazimierz hr.

Otrzymaliśmy doniesienie, iż c. k. Starostwo Sokalskie energicznie staje w obronie ustawy łowieckiej. W tym celu rozesłało ono okólnik, który w całej swojej treści niżej podajemy, a ma wkrótce rozesłać inny okólnik, zabraniający włościanom brania ze sobą psów domowych w pole, co przy zbliżającej się porze wiosennej przyniesie łowiectwu niemałe korzyści. Nie wątpimy, że polecenia w owych okólnikach wyrażone będą ściśle wykonywane. Oby wszystkie Starostwa poszły za tym przykładem, a szczególnie Żółkiewskie, które podobno do tej chwili lekceważy ustawę łowiecką.

L. 2013/83. Cesarski patent o broni z d. 24. Października 1852 r. stanowi, że broń wolno nosić i takowej używać tylko osobom, które na to otrzymały pozwolenie c. k. Starostwa przez udzielenie karty na broń (Waffenpass). W wielu gminach powiatu tutejszego zdarza się, iż mieszkańcy posiadają broń palną i sieczną i takowej używają, nie mając na to pozwolenia c. k. Starostwa. Cierpi na tem gospodarstwo łowne powiatu, albowiem tacy używający broni bez pozwolenia, są z reguły złodziejami zwierzyny (kłusownikami), a robiąc szkodę w cudzej własności, podkopują zarazem gospodarstwo łowne, nie zachowując czasów, w których zakazanem jest ustawą z d. 30. Stycznia 1875 polować na pojedyncze rodzaje zwierzyny i w których takowa się lęgnie. Tak zatem ochrona cudzej własności jak i ochrona zwierzostanu spowodowały mnie do polecenia równocześnie zwierzchnościom gmin, ażeby troskliwie czuwały nad tem, iżby nikt nieuprawniony broni nie nosił na terytoryum gminy. Naczelnika gminy obowiązkiem jest w takim razie broń odebrać i c. k. Starostwu przedłożyć. Ażeby jednak przez pozbawienie broni kłusowników osiągnąć zamierzony rezultat, niezbędnem jest, ażeby właściciele i dzierżawcy prawa polowania poddali się przepisowi u wstępu wspomnianego cesarskiego patentu przez zaopatrzenie się w karty na broń. Wzywam przeto WPana, ażebyś zechciał bezzwłocznie zgłosić się do c. k. Starostwa o kartę na broń, jeżeli takowej dotąd nie posiadasz. Równocześnie polecam c. k. żandarmeryi powiatu, ażeby podczas patrolowania w gminach przestrzegała z całą bezwględnością przepisów o broni i osobom przydybanym z bronią, a takową nieprawnie noszącym, broń bezwzględnie konfiskowała, a to pod odpowiedzialnością służbową. Podczas polowań zbiorowych w okolicy jawiący się żandarmi mają obowiązek zażądać od obecnych a broń noszących, ukazania kart na broń, a tym, którzy kart nie posiadają, z zachowaniem wszelkich względów grzeczności broń odebrać. W ten sposób bowiem jedynie będzie c. k. Starostwo w możności roz-

ciągnąć należytą kontrolę nad kłusownictwem i kres mu położyć. Mam zaszczyt także wezwać WPana, ażebyś zechciał o nieprawnie noszących broń w gminie tamtejszej bezzwłocznie mnie zawiadomić, przynajmniej dwóch osób nazwiska podając, lub nazwisko jednego strażnika zaprzysięgłego, którzy widzieli osobę dotyczącą broń noszącą lub takowej używającą.

W Sokalu, dnia 23. Lutego 1883.

Ces. król. Starosta.

Wykaz ubitej zwierzyny w Starostwie Brzeskiem. W roku 1881 pożytecznej: sarn 57, dzików 1, zajęcy 883, królików 5, kurek skalnych 20, bażantów 16, kuropatw 382, przepiórek 256, słonek 21, kaczek dzikich 106, kszyków 48; szkodliwej: lisów 91, łasic 1, wydr 1, borsuków 2, orłów 2, puhaczów 18, sokołów 57, sów 23. W roku 1882: sarn 83, dzików 1, zajęcy 1641, jarząbków 24, kurek śnieżnych 20, kuropatw 719, przepiórek 568, słonek 29, gęsi dzikich 7, kaczek dzikich 129, kszyków 209, lisów 129, kun 4, łasic 1, wydr 3, kotów zdziczałych 180, borsuków 8, orłów 30, puhaczów 5, sokołów 76, sów 16.

Brzesko, dnia 10. Marca 1883.

H. Pfau
c. k. Starosta.

P. R. Kurki skalne i kurki śnieżne, wymienione w wykazie, są dla nas zagadkowe. Zapewne to owe kamionki i pardwy, podawane zwykle w urzędowym statystycznym wykazie, które jako u nas nieistniejące, są niezawodnie mylnie determinowane. Za przesłany nam łaskawie wykaz szczerze dziękujemy.

Z pod Warszawy, 22. Lutego.

Otrzymawszy dopiero przedwczoraj pierwsze numera „Łowca", nie mogliśmy wcześniej dołożyć kilka słów naszych do waszej zajmującej kroniki myśliwskiej. Przed dziesięciu dniami polowaliśmy w majątku Łoś, własności p. M., w powiecie Grojeckim. Strzelb było cztery, nagonka składała się zaledwie z kilkunastu chłopaków. Polowanie trwało od godziny 9tej rano do $4\frac{1}{2}$ po południu. Dzień był piękny, słoneczny. Śladów dzików mnóstwo. Pierwszy miot był bezowocny, w drugim ruszono pojedynka, ale przeszedł przez linię nagonki, w trzecim trafiliśmy na stadko dzików, składające się z 6 sztuk, z których jeden wycinek został na placu. Czwarty miot znowu bez rezultatu, za to w piątym miocie, w gęstym, kilkunastomorgowym zagajniku, mieliśmy prawdziwą biesiadę myśliwską, bo ruszono całe stado dzików. Na jednego z myśliwych, p. M., wyszło 17 sztuk, a reszta rozbiegła się w różne strony. Tu ofiarą padły: 1 dwuletni wycinek i 1 maciora, oprócz 4 ranionych, znaczących swe ślady obfitą farbą. Zabito także 1 kozła. Kóz widzieliśmy 20 sztuk. Zajęcy, które nie były celem naszego polowania, padło 2. W ogóle zwierzostan byłby tu wcale pomyślny, gdyby nie kłusownictwo, bujające w pełni, a pobudzane bliskością Warszawy, gdzie zwierzyna łatwy zbyt znajduje. Przeciw tej pladze władze nasze nie przedsiębiorą dość energicznych środków, wydając pozwolenia na broń drobnym właścicielom, którzy nie mogąc polować na swojem, polują na cudzem, nie przebierając w zwierzynie. Ile jej przez to idzie na marne, trudno obliczyć. Smutne to, ale prawdziwe. Szczęściem obecny naczelnik powiatu Grojeckiego jest sam zawołanym myśliwym, może więc potrafi ocenić szkody zrządzone przez kłusowników i położy tamę tej pladze, trapiącej nasz zwierzostan. *Qui vivra — verra!*

J. B.

Idąc za przykładem innych, podajemy sprawozdanie o wyniku polowań, urządzanych przez Towarzystwo nasze podczas ostatniego sezonu zimowego. W miesiącach Listopadzie, Grudniu 1882 i Styczniu 1883 polowaliśmy gremialnie tylko w dwóch rewirach, dzierżawionych przez Towarzystwo, mianowicie w Wybranówce i Sołonce. Padło: dzików 2, rogaczy 6, lisów 4, zajęcy 42, jarząbków 3, kuropatwa 1. Z wyjątkiem 3 zajęcy, reszta zwierzyny przypada na Wybranówkę. Musimy zanotować, że polowania improwizowane daleko świetniej wypadły, bo w skutek otrzymanego dnia 2. Lutego telegramu z Wybranówki: „Dziki są", pospieszyło pięciu naszych myśliwych na spotkanie z tymi gośćmi i w niespełna godzinie padły 2 dziki. Podobny telegram z d. 11. Lutego powołał sześciu naszych towarzyszów do kniei, a rezultatem wyprawy był jeden warchlak.

Ponieważ w sprawie donioslości broni myśliwskiej już zbyt długo toczy się polemika, nie od rzeczy może będzie, jeżeli przytoczymy, że trzy dziki, które szczególnem szczęściem czy zbiegiem okoliczności jednemu i temu samemu myśliwemu w udziale przypadły, przez tegoż z dubeltówki o gładkich lufach systemu Lankastra, kulami w dosyć znacznej odległości położone zostały. Jeden zaś dzik padł od kuli z Lefoszówki o lufach prostych. Przy wszystkich tych strzałach przeszywały kule zwierza na wskroś. Przytaczając powyższe uwagi, nie myślimy wcale stawać w obronie jednego lub drugiego z systemów spornych, bo gdy sprawa ma być rozstrzygnięta przez komisyę fachowych rzeczoznawców, to nie wątpimy, iż sędziowie ci ostatecznie orzekną na istotny pożytek ogółu myśliwych, któremu z tych systemów należy przyznać przewagę i pierwszeństwo.

Z Wydziału Towarzystwa myśliwych im. św. Huberta.

We Lwowie, dnia 17. Marca 1883.

Xaw. Burzyński sekretarz. *Wład. Bielański* prezes.

Jak u nas jeszcze sporadycznie prawo jest szanowane, a wykonawcy jego traktowani, niech świadczy list, pisany do delegata Towarzystwa łowieckiego.

Maćkowa, d. 11. Lutego 1883.

Posyłam 50 złr. jako strof na ręce pańskie, kiedy bowiem denuncyacya wniesioną została za pańskim rozkazem, zdaje mi się rzeczą naturalną, aby faktyczne zlikwidowanie tej sprawy i przeprowadzenie karnej procedury zostało łaskawemu panu poruczonem. Niewiadomością ustawy zasłaniać się nie myślę, i owszem donoszę do dalszego użytku, że polować zamierzam tego tygodnia w nieruszanej dotychczas kniei i że zające bez pardonu strzelane w niej będą. Prawdziwie boli mnie, jeżeli sz. sąsiadowi przykrość tem sprawię, lecz raczy pan zrozumieć, że kiedy rzecz wyszła z prywatnych torów i stoi na gruncie c. k. kodeksu policyjnych strofów i urzędowej interwencyi, czuję się chwilowo uwolnioną względem Niego od względów zwykłej sąsiedzkiej solidarności i dobrej woli, które inaczej byłyby mnie natychmiast spowodowały do dania Mu w każdej spornej kollizyi wszelkiej możliwej satysfakcyi. *Et voila pourquoi!* jeżeli niewinne zające padać tego roku będą jeszcze, niech łaskawy pan przypisze to Sobie. Z ocenieniem kroku sz. pana zupełnie się wstrzymuję.

S. P.

Dodać z żalem winniśmy, że interwencya delegata znalazła u p. c. k. Starosty zamiast energicznego skarcenia przestępstwa prawa, wyrażonego w ustawie łowieckiej, wahanie się i lekceważenie sprawy. Wszakże ustawy jakiejkolwiek treści mają równe znaczenie i lekceważeniem pomijane być nie mogą.

Jako zdarzenie dosyć niezwykłe podaję, iż w roku ubiegłym w Czerwcu w rewirze Sal w państwie Żywieckiem wydała sarna na świat troje młodych, które dotychczas obserwowane wraz z matką pięknie się chowają.

Wład. Janowski, nadleśny.

Pantalowice, 20. Lutego.

Pomiędzy licznemi korespondencyami i sprawozdaniami, jakich Bogu dzięki nie brak sz. Redakcyi w tej zwłaszcza porze ku schyłkowi się mającej, pomiędzy temi poważnemi jakością i ilością, a o ile to się godzi, zazdrość myśliwską wzbudzającemi cyframi ubitej zwierzyny w różnych miejscowościach kraju, zaiste arcyskromne tylko miejsce zająć może w szpaltach „Łowca" ta wzmianka o Towarzystwie naszem. Jeśli ją przesyłamy, czynimy to raz dlatego, że sz. Redaktor koniecznie od nas tych słów kilka wymaga, a powtóre, że bądź co bądź choć w szczupłym zakresie, robimy co możebne i że bez przechwałek wyznać możemy, iż jeszcze w niejednym zakątku przykład ten naśladowanie znaleść powinien. Jeśli przy staraniach naszych nie spotkamy się z klęską jaką, to jak dziś w porównaniu z zeszłym rokiem, tak *crescendo* coraz lepszymi rezultatami cieszyć się będziemy mogli. Przypominamy, iż Towarzystwo nasze kończy dopiero drugi rok swego istnienia, że mamy do dyspozycyi same tylko pola dworskie i gminne, których część znaczną co roku oszczędzamy, i że niektóre miejscowości pod naszym dopiero zarządem od lat wielu raz pierwszy poznają, ile ma znaczenia staranny dozór polowania i poskramiania kłusownictwa.

Z Wydziału Towarzystwa.

K. Scipio. *W. Bzowski.*

Wyciąg z protokołu Zgromadzenia ogólnego Próchnicko-Kańczudzkiego Towarzystwa myśliwskiego, odbytego w Pantalowicach dnia 13. Lutego 1883.

Po uczczeniu pamięci zmarłego niedawno członka Towarzystwa, pułkownika Romana Lazarewicza i przyjęciu ostatniego protokołu, przedkłada prezes następujące sprawozdanie: Z końcem drugiego a z początkiem trzeciego roku istnienia Towarzystwa liczymy w gronie naszem 30 członków. Podczas ostatniej kampanii na 11 wspólnych polowaniach ubito na 913 strzałów razem sztuk 304, mianowicie: zajęcy 298, lisa 1 słonek 2, kuropatw 3 (o 132 sztuk więcej jak w roku ubiegłym). Dozorcy zabili szkodliwych sztuk 254, a to: psów 18, kotów 49, jastrzębi 22, srok 165. Następnie przedłożył prezes sumaryusz księgi kasowej za

czas od 1. Marca 1882 do końca Lutego 1883. Przychód wynosił 1046 złr. 19 ct., rozchód 996 złr. 7 ct. Pozostałość kasowa na rok trzeci wynosi 50 złr. 12 ct., zaległe wkładki 95 złr. Po udzieleniu dziękczynnego absolutoryum prezesowi, uchwalono budżet na rok trzeci do końca Lutego 1884 r., w skutek czego każdy towarzysz ma opłacać jak dotąd 10 złr. 1. Marca i 15 złr. 1. Listopada na ręce prezesa. W dalszym ciągu porządku dziennego i na mocy wniosków członków uchwalono: 1. Za każdego gościa składa zapraszający do kasy Towarzystwa 2 złr. dziennie. 2. Naznaczenie kar za opóźnienie (§. 7. regulaminu) pozostawione prezesowi. 3. Odwołanie zapowiedzianego polowania, choćby w ostatniej chwili, należy do atrybucyi prezesa lub jego zastępcy. 4. W wyjatkowych wypadkach nie obowiązuje Wydział ośmiodniowy termin doręczenia zaprosin na polowanie, lub zmiany w ogłoszonym terminie. 5. Każdy chcący wziąć udział w polowaniu, winien zawiadomić prezesa o chęci i zamiarze przybycia, a to głównie na zarządzenie planu i nagonki. 6. Uchwalono wynagrodzić dwóch odznaczających się pilnością dozorców po 10 złr. 7. W końcu odczytano jedenaście protokołów z odbytych polowań w ubiegłej kampanii.

Z Wydziału Towarzystwa.

K. Scipio. *W. Bzowski.*

W nr. 2. czasopisma „Łowiec“ b. r. umieszczoną została korespondencya z Jasła, w której p. J. B. w końcowym ustępie donosi, iż „w lasach kameralnych kozy na dobre biją“. Wobec powyższego doniesienia, które się zupełnie mija z prawdą, upraszam sz. Redakcyę na mocy ustawy prasowej o umieszczenie w łamach swego pisma następującego sprostowania. Od r. 1880 włącznie do końca miesiąca Stycznia 1883 r. odstrzelono w tutejszych lasach skarbowych tylko jednego kozła, zaś siuty ani jednej, treść powyższej korespondencyi co do jej końcowego ustępu jest przeto czystem zmyśleniem autora, którego od brania udziału w polowaniach tutejszych wykluczyć musiano z powodu, iż wyjście na polowanie nie było i nie jest u niego wytchnieniem po żmudnej pracy umysłowej, lecz środkiem do zaprowiantowania spiżarni, a jego pociąg do użycia wielkokalibrowych odtylcówek przechodzi w namiętność, która według publicznej opinii koliduje często co najmniej z przepisem §. 460. kodeksu karnego.

Warzyce, dnia 10. Marca 1883. *F. Klusiok*

c. k. zarządca lasow.

P. R. Żałujemy, że sprostowanie to zbyt namiętne.

Ze Szkalbmierskiego (Król. Pols.), Luty.

Rok ubiegły i bieżący przerzadził nasze szeregi, zabierając nam ludzi zacnych, obywateli wzorowych, kochanych i szanowanych, ludzi, których pamięć na zawsze drogą nam zostanie. W dniu 3. Lutego r. b. zmarł w Bobinie Alfred hr. Łoś w 57 roku życia swego, tknięty paraliżem serca, zostawiając żonę i czworo dzieci w nieutulonym żalu, a wszystkich krewnych, przyjaciół i znajomych ciężko dotkniętych tą stratą. Jest wprawdzie zwyczajem wychwalać nieboszczyków, w tym jednak razie nie ma słów dostatecznych do opisania zalet tego najzacniejszego obywatela, najlepszego męża i ojca, wzorowego pana i rolnika, najmilszego sąsiada i doskonałego myśliwego. O zasługach ś. p. Alfreda hr. Łosia inne pisma pomieściły wspomnienia, w piśmie zaś łowieckiem pozwalam sobie oddać hołd zmarłemu jako prawdziwemu myśliwemu i umiejętnemu hodowcy małego, lecz pięknie prowadzonego lasu. W Królestwie, gdzie leśna hodowla drzew i myśliwstwo zaledwie jest w kolebce, pierwszy na całe Krakowskie w tym pięknym Bobinie pomyślał o pielęgnowaniu zwierzyny i lasu, to też doszedł do niezwykłych rezultatów w tych dwóch gałęziach gospodarstwa wiejskiego, i to na niewielkiej przestrzeni swego majątku, przy uciążliwych służebnościach i ogólnem lekceważeniu praw łowieckich. Myśliwy wyborny, towarzysz wesoły, ujmujący i dowcipny, lubownik zwierzyny aż do przesady, rzadko sam do niej strzelał w swoim lesie, a na stanowisku z uśmiechem zadowolenia przepuszczał koło siebie zające. Oto jego przymioty na tej niwie tak u nas zaniedbanej. Współpracownik „Łowca“ i wielki jego protektor, w ostatnich czasach wydał dziełko tyczące się uprawy leśnej p. t.: „Podręcznik dla właścicieli małych lasów“, bardzo praktyczne w naszych warunkach, a przez kompetentnych bardzo chwalone. — Mimo okropnej drogi i brzydkiego czasu, jaki wypadł w dzień jego pogrzebu, obywatele tak pobliscy jak i z dalszych stron Królestwa i Galicyi zjechali się licznie, aby na swych barkach zanieść jego trumnę na cmentarz Bobiński i złożyć w grobie przez nieboszczyka świeżo wybudowanym, którym się cieszył w ostatnich czasach swego życia, często o śmierci wspominając. O żalu bliskich krewnych mówić nie będę, wspomnę tylko na potwierdzenie tych słów kilku, że widziałem wiele łez w oczach jego przyjaciół, znajomych, sług i tłumnie zgromadzonych włościan na jego pogrzebie, a one najlepszym są dowodem zasług zmarłego. Niech ci ta ziemia ojczysta, którą tak miłowałeś, a którą w Bobinie potem własnego czoła w trzydziestoletniej, wytrwałej pracy zrosiłeś, lekką będzie tak, jak na to zasłużyłeś! *T.*

„Miesięcznik gal. Towarzystwa ochrony zwierząt“ z Grudnia 1882 pisze: „Polowanie we Francyi i u nas. Na ostatniem polowaniu t. r. w lesie Marly położył prezydent republiki p. Grevy z sześcioma zaproszonymi na łowy gośćmi: 95 fazanów, 14 rogaczy, 23 zajęcy, 1 przepiórczego króla, 1 kuropatwę i 206 królików, razem 340 sztuk dziczyzny.“ Wcale to nieosobliwe według naszego zdania łowy, ale za to bardzo osobliwe podkreślone nazwy zwierzyny. Zapewne redaktor „Miesięcznika“ p. Dr. T. Ciesielski nie czytał owego doniesienia i nie pochwali tej trochę nadto rażącej niewiadomości. *W.*

Nadbrzezie, 7. Marca.

Wyczytawszy w nr. 3. „Łowca“ o szczęśliwie dokonanym ocaleniu nieuszkodzonego jeszcze gołębia ze szponów jastrzębia na ulicy lwowskiej, donoszę kilka szczegółów, dotyczących zuchwałości i przebiegłości tego krwiożerczego rabusia, których byłem świadkiem. Pewnego razu, w dniu dżdżystym i burzliwym, dano mi znać, że jastrząb gołębiarz *(f. palumbarius)* siedzi za kominem sąsiedniego domu, w którym chowano gołębie. Wybiegłszy ze strzelbą, spostrzegłem, że jastrząb opuściwszy swe schronienie, spuścił się na dół i przelatując nisko po nad ziemią, schwycił w oczach naszych w przelocie sporego kurczaka i po za płotem siadł w celu rozpoczęcia drapieżnej operacyi. Pospieszyłem w to miejsce i ujrzałem jastrzębia siedzącego na swej zdobyczy i rozglądającego się w koło. Spostrzegłszy mnie, wzleciał, unosząc swą zdobycz. Strzałem z Lankastrówki spuściłem go z daleka, spadając wypuścił ze szponów kurczaka, który pobiegł z piskiem do sąsiedniego domu, na pozór nieuszkodzony, ale już w nocy życie zakończył. Drugim razem dano mi znać, że jastrząb pochwycił ulubionego mego gołębia (pawika) i poleciał z nim w pole. Nie mogąc sam gonić za nim, wysłałem kilku chłopców, w przypuszczeniu, że łakomy jastrząb gdzieś w pobliżu zasiadł. Jakoż wnet przynieśli mi chłopcy pawika, pozornie wcale nieuszkodzonego. Ulokowałem pawika w kuchni i kazałem nasypać mu grochu, który żarłocznie jadł. Nazajutrz znalazłem go nieżywego, a po oskubaniu okazało się tylko pod skrzydłami kilka jakoby ukłuć szpilką, ale tak głębokich, że przenikły mięśnie, krwią zalane. Uwolnienie ofiary zupełnie nieuszkodzonej ze szponów drapieżnika jest prawie niemożebne, bo chwyta on ją szponami, a nie dziobem, jak inne ptaki, i to tak głęboko, iż prawie nawskroś ją przejmują. Dalsza operacya odbywa się uderzeniem kilkakrotnem w kark lub w głowę.

F. G.

Zwracamy uwagę czytelników naszych na pismo wychodzące w Warszawie pod tytułem: „Opiekun zwierząt domowych i pożytecznych“ pod redakcyą Henryka Kotłubaja. Pożyteczne to pismo, pouczające i starannie redagowane. Prenumerata wynosi rocznie rs 4, półrocznie 2. Adres: Ulica Sienna nr. 6 a.

Krukienice, 9. Marca.

Dnia wczorajszego odbyło się małe polowanie w kilka strzelb na dziki w Radochowicach, majętności hr. Stanisława Stadnickiego. W jednym miocie otropiono dużego odyńca. Miot był mięszany, liściasty i szpilkowy, w środku przecięty wąziutką linią, pędzony od głównej linii na las gruby, bukowy, gdzie stali myśliwi. Ja i hr. Stadnicki staliśmy na flankach. Gdy się naganiacze zbliżyli ku wąskiej sznajce, na której się wyrównali i dalej poszli ku myśliwym, podbiegliśmy i stanęli z tyłu za nagonką. Po chwili spostrzegam dzika, dążącego na lewo odemnie, gdzie nikogo nie było, podbiegam więc w celu zbliżenia się do niego lub napędzenia go w miot. Wtem dzik nagle stanął, zwrócił się ku hr. Stadnickiemu, więc palę do niego dwa razy, podbiegam i napędzam go na hr. Stadnickiego, który strzela na sznajce. Przychodzimy na trop i widzimy, że dzik na dwie strony farbuje, kula przeszła go na wskroś. Idę za tropem i ledwiem uszedł paręset kroków, słyszę z boku dudnienie i w tejże chwili dzik był koło mnie, otarł się lekko o moje nogi i zniknął w gąszczu. Nie mogłem strzelić, więc podbiegam w rzadsze i strzelam dwa razy za nim, dochodzę do sznajki i widzę jak dzik lotem błyskawicy szarżuje na hr. Stadnickiego tak, że ten nie miał czasu strzelić, tylko chwycił się gałęzi drzewa, przy którem stał. Ledwie to uczynił, dzik był już pod nim, przesunął mu się między nogami i

zniknął w gąszczu. Hr. Stadnicki nie mógł strzelić, tem mniej ja z odległości może 100 kroków jemu pod nogi. Zawdzięcza swej przytomności i zimnej krwi, że dzik wpadłszy na niego z tyłu tak nagle, nie pokaleczył go. Odyniec ten szedł później ciągle wolnym krokiem, farbując ogromnie na obie strony; widocznie był wysoko pod samym grzbietem przestrzelony. Z powodu spóźnionej pory nie śledzono go, lecz nazajutrz znaleziono martwego. Dzik to czarny, duży, z ogromnemi szablami.

Jan Ostrzechowski.

Kamienna, 3. Marca.

Podając moją skromną propozycyę do „Łowca", zastrzegłem sobie przedewszystkiem, by ta sprawa bez namiętności traktowaną była, tymczasem w odpowiedzi sz. p. Z. przebija się widocznie żółć i lekceważenie przeciwnika. Czy to prowadzi do celu? Przyjąłem wszelkie warunki, nie stawiając żadnych, więc dlaczegoż p. Z. podstawia mi jakieś szumne frazesa, o których wcale nie myślałem, ufałem tylko spokojnie w wierną mi zawsze strzelbę moją, niezawisłą od ilości prochu. Wszak z góry orzekłem, że taką broń uważam za dobrą, która przy wielkiej ilości prochu, małej ilości śrótu, gęsto bije, i z tego tylko powodu wspomniałem, iżby naboje wolno robić według upodobania, bo niezawodnie panu Z. wiadomo, że nawet ze strzelb jednego kalibru jedna wymaga więcej prochu, druga mniej, zresztą zawisło to także od wagi strzelby i wielu innych warunków. Nie powinno to gniewać pana Z., jeżeli ośmielam się twierdzić, że właśnie w tem widzę przewagę systemu Lankastra, iż można w nim dobierać sobie dowolnie kaliber, gdy przeciwnie w systemie Teschnera (Colath) kaliber z góry jest wskazany. Jest to jedną z ważnych ujemności obok innych przez p. Weebera przywiedzionych. Nie mięszałem się w tę sprawę, jak długo ona była ze stanowiska czysto fachowego traktowaną, ale gdy zeszła na strzały, sądziłem, iż nie będzie dla myśliwych rzeczą obojętną, widzieć jeszcze jednego współzawodnika. Dlatego tylko odezwałem się, obecnie zaś, gdy p. Z. podsuwa mi szumne frazesa, którymi właściwie sam szafuje, to ja trzymając się ruskiego przysłowia: „koły z moim ne w ład, to ja z nem nazad", cofam się i pozostawiam praktyce rozsądzenie, który z systemów jest wyższym i praktyczniejszym, a zapewne nie długo czekać będziemy, bo już podobno Colath trajbszpiglów nie daje do nabojów, więc ostrość strzałów zmięknie, gdy poczciwa Lankastrówka i bibułka dzielnie strzeli. W końcu nadmieniam, że w pewnej miejscowości rezultat ubitej z Colatówek zwierzyny był istotnie bardzo zadowalający, ale czyż to dowód doskonałości systemu? Wszak sam znam myśliwych, strzelających na pewne z Ferlacherek, a pudłujących z Colatówek i ze strzelb innych systemów.

G. Głuchowski.

Krukienice, 2. Marca.

Przesyłam sprawozdanie ubitej w Krukienicach zwierzyny w roku 1882 na kilku polowaniach w kniei i na błotach. Padło: dzików 6, lisów 18, psów 6, kotów 4, jastrzębi 20, wron 26, srok 15. Razem drapieżnej 95. Rogaczy 35, zajęcy 51, kuropatw 15, przepiórek 21, chruścieli 52, kaczek 49, dubeltów 54, kszyków 269, kulików i kulonów 21, słonek 19. Razem użytecznej 586. W roku tym było ptactwa błotnego dosyć, lecz właśnie w czasie przeciągu, a więc w najodpowiedniejszej porze, błota stały przez kilka tygodni pod wodą, brodzenie było niepodobne. Ptactwo siadywało po kępach, zrywało się stadami daleko. Dzikie gęsi, żórawie, a nawet łabędzie widziano na błotach Burczyskich, Mitkowskich, Larajskich, Błozowskich. Co do polowań kniejowych ze smutkiem zaznaczyć muszę, że właściciele większych posiadłości nie przestrzegają ustawy łowieckiej, a sąsiedztwo takie stokroć gorsze od kłusownictwa, bo kłusowników można wyłowić. Gdy poluje hr. Stanisław Stadnicki w Radewicach, to sąsiedni leśniczy Podlisecki staje na granicy i strzela do kóz, a kiedy się poluje w Krukienicach, to leśniczy Więckowicki to samo czyni. Las Krukienicki wzięty teraz we trzy ognie, od Więckowic, Rajtarowic i Pnikut, gdzie każdego wieczora i dodnia słychać strzały, a każdy przyzna, że w ciemności kozła rozpoznać nie można. Zresztą w tem najlepsze świadectwo, że przy tych granicach często się znajduje zabite kozy, lub chodzące bez racic, jak to panowie myśliwi poświadczyć mogą.

Jan Ostrzechowski.

Odpowiedź p. H. Madejskiemu z Uładówki. O wiosennem bębnieniu kszyka pisałem w nr. 8. „Łowca" z r. 1881 ile mi się zdaje jasno i wyczerpująco, i mimo opozycyi trwam w mojem przekonaniu. Nie chcąc powtarzać, com już poprzednio wypowiedział, poczynię dodatkowo niektóre jeszcze w tej kwestyi uwagi z kategorycznem odparciem zarzutów, uczynionych przez p. Madejskiego. Jest to zwyczajem przyrodników, w czem ja laik staram się ich naśladować, iż badają przyrodę nietylko wzrokiem, ale też odpowiednimi przyrządami, a zwłaszcza nożem anatomicznym, wzrok bowiem często się łudzi, zmysł zaś dotykania rzadko zawiedzie. Przez długi czas wytężałem moją uwagę, w jaki sposób bekas-kszyk bębni na wiosnę. Nasłuchałem się do syta twierdzeń myśliwych, jako kszyk wydaje ów głos lotkami lub gardłem. Z natury niewierny Tomasz, zapragnąłem naocznie się o tem przekonać, podjąłem więc w tym celu mozolną pracę, badałem tryb życia bekasów w wczesnej wiośnie, a szczególnie sposób bębnienia. Bekas samiec w zaraniu wiosny, jak zwykle kawaler na ożenieniu, lata z miejsca na miejsce jak opętany, skoro spostrzeże siedzącą na ziemi samicę, poczyna bębnić a raczej bekać, i jak strzała spada czyli b i j e w to miejsce. Gdy samica radośnie przyjmuje zaloty z impetem spadającego samca, odzywa się piskliwie *dikut*, *dikut*, przysiadając do ziemi, trzepocąc skrzydłami. Jest to objaw wzajemności miłośnych uczuć, rodzaj zrękowin, zgodzenie się na wspólne pożycie, bo u bekasów nie ma wielożeństwa. Od tej chwili oblubienicy stanowią małżeńską parę, małżonek nie opuszcza swej ukochanej, chyba w celu szukania żeru, który znosi siedzącej na gnieździe, zwłaszcza gdy pisklęta poczynają się już wykluwać. Wtedy lada chłód lub wilgoć stają się dla nich zabójczemi, więc samica ani na chwilę nie opuszcza gniazda i karmi pisklęta żerem zniesionym przez samca. Nim matka wyprowadzi dzieci z gniazda na samoistne żerowanie, karmią je oboje rodzice naprzemian. Samica wydaje z siebie głos *dikut*, *dikut*, w porze zalotów, lub też gdy z natury już niespokojne potomstwo podczas jej nieobecności porozłazi się po trawach, więc wabi je ku sobie tym głosem. Samiec bębni czyli beka tylko o wczesnej wiośnie w porze zalotów, i to nigdy siedząc na ziemi lub drzewie, albo podczas parowania, które zawsze odbywa się w milczeniu. Bębni tylko w czasie gwałtownego spadania, co właśnie wprowadza w błąd przyrodników i myśliwych, którzy sądzą, iż gdy głos ów daje się słyszeć tylko w locie, z lotek więc tylko pochodzić może. Lecz co jest właściwie bębnienie? Jest to niezawodnie rodzaj śpiewu, wabienia bekasa! Niechże mi p. Madejski i przytoczeni przez niego uczeni niemieccy: Brehm, Altum, Cabanis, Reichenow wskażą choćby jedno stworzenie wabiące nie gardłem, lecz innym przyrządem. Śpiew bekasi, jak słowiczy, nie trwa długo, tylko podczas zalotów, a nie małżeństwa, które wiernie przeciąga się od wczesnej wiosny aż do początku jesieni, gdy ptactwo w ogóle zbiera się w większe stada (chmary) w celu udania się w cieplejsze strefy. Wtedy ostygają miłosne zapały, rozprzęgają się węzły rodzinne. Po zalotach milknie samiec bekas i wydaje tylko wspólny obojej płci głos ksykający. Zdaje mi się, iż panu M. nie tyle chodzi o właściwy organ, którym kszyk bębni, gdyż w tym względzie idzie on ślepo za wyrokiem koryfeuszów, których cytuje, raczej nie wierzy on w istnienie owego narządu kostnego, który według mego zdania jest motorem bębnienia. O tem wszakże może się p. M. naocznie przekonać, badając rzecz ściśle. Nie twierdziłem ja jednak i teraz nie twierdzę, że ów narząd kostny jest jedynym motorem bębnienia kszyka, pośrednikiem między płucami a gardłem. Okrągły, wewnątrz próżny, posiada wszelkie warunki spotęgowania głosu, wyrobionego w płucach, uchodzącego przewodem oddechowym. Budowa lotek i upierzenie ich nie mogą nawet wydawać głosu tak donośnego. Dotąd znamy łopotanie, klaskanie i świst skrzydeł gołębi, burczenie głuszca, ciurkotanie kuropatw i przepiórek, fruwanie skrzydłami niektórych łuszczaków, wreszcie szum lotu bocianów, czapli, żórawi i innych większych ptaków, ale mniemanie uczonych niemieckich niezawodnie jest mylne, iż lotki kszyka wydają głos beczący, który już samym tonem swoim podobny do głosu, jaki wydaje próżna flaszeczka, gdy się w jej szyjkę dmie, zdradza swe wewnętrzne pochodzenie. Dlaczegożby lotki wydawały głos ten tylko podczas wczesnej wiosny, a nie w lecie i w jesieni.? Wcale nie mam zamiaru mierzyć się z tymi niemieckimi potentatami nauki i wiedzy, lecz i oni mylić się mogą. Oby spór ten dotąd *sub judice* rychło stanowczo w skutek starannego zbadania rzeczy rozstrzygniętym został; co do mnie, opieram moje twierdzenie na silnem przekonaniu i tylko nieprzepartym dowodom z pokorą się poddam.

Gawin.

Redaktor: **Józef Łoziński.** Adres: **Władysław Zontak** ul. Teatralna Nr. 18.

Z I. Związkowej drukarni we Lwowie, Hotel Zorża.